MAGAZYNOWA KONTYNUACJA NUMERU PIERWSZEGO!

BRODY

Z KOSMOSU!

2015
CZERWIEC
NUMER 2

CENA: 0 ZŁ

MAGAZYN
O KOMIKSACH,
POPKULTURZE
I CAŁEJ RESZCIE

OUTERSPACEBEARDS.BLOGSPOT.COM

SZYBKO
I WŚCIEKLE

BĘKARTY
Z VHS

MŚCICIELE 2:
ULTRON BOOGALOO

PAJĄKWERSUM
CZŁOWIEKA PAJĄKA

ŚLEPA FURIA

DODATKOWO:

ŁUKASZ KOWALCZUK • BLACK PANTHER • LIAM NEESON

▪ **Jakimś cudem nie mamy w numerze nic o *Wiedźminie*, więc wrzucamy tutaj to zdjęcie, aby zachować równowagę we Wszechświecie.**

RZECZY W ŚRODKU

4 **ZA GARŚĆ PYTAŃ**
Jan Mazur, autor komiksu „Przypadek pana Marka", został postawiony pod ścianą i zmuszony do odpowowiedzi na pytania.

6 **OBRAZKOWA WOJNA Z CZERWONYM ZAGROŻENIEM**
Przegląd najlepszych antykomunistycznych komiksów, jakie wypluła z siebie Ameryka w latach 50.

12 **SPIDER-VERSE**
Czy zastanawialiście się co słychać u Człowieka-Pająka? Tu znajdziecie odpowiedź.

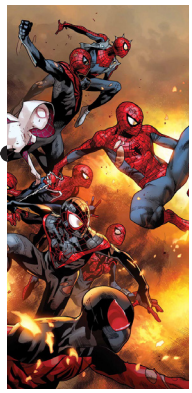

14 **WSPOMNIENIA Z AKCJI**
Liam Neeson to człowiek o wielu twarzach i talentach, które zdobył w czasie swojej długiej kariery i wykorzystuje w każdym nowym filmie.

18 **KIM JEST BLACK PANTHER?**
Już niedługo filmowa rodzina Marvela powiększy się o nową postać. A czy wiecie, jaka jest jej historia?

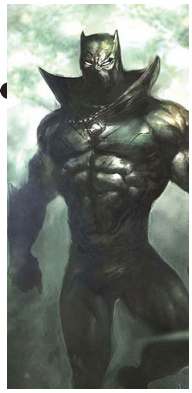

21 **WSPOMNIENIA NIEDOSZŁEGO DAREDEVILA**
Kuba Ćwiek obejrzał nowy serial Marvela, a potem go naszło na wspominki. Spisał je dla nas.

IDŹ DO PIEKŁA, LALKO WŚCIEKŁA **22**
Radek Pisula stawia czoło dziecięcym lękom i rozprawia się z historią swojego romansu z kinem grozy.

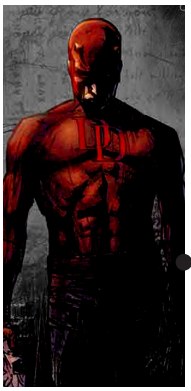

ZA GARŚĆ PYTAŃ **24**
Walter Simmonson - Brodaty ojczym Thora, który zrobił z niego prawdziwego mężczyznę, rzuca nam garść odpowiedzi.

ZA KILKA PYTAŃ WIĘCEJ **25**
Komiksowy Lincoln to straszny gnojek, ale jego scenarzysta - Olivier Jouvray emanuje zaraźliwym humorem

NAJLEPSZE KAWAŁKI DAREDEVILA **26**
Obejrzeliście serial? Zakochaliście się? Chcielibyście poczytać komiksy, ale nie wiecie które? Proszę bardzo.

WYWIAD Z ŁUKASZEM KOWALCZUKIEM **28**
Tuż przed premierą zbiorczego wydania podziemnego hitu *Vreckless Vrestlers* przepytaliśmy Łukasza o wszystkie jego projekty. I było też trochę życiowych wątków.

JAK DAREDEVIL SKOPAŁ TYŁEK ARROWOWI **35**
Julian obejrzał *Arrowa* i *Daredevila*, po czym porównał oba seriale. Spoiler w tytule.

WARRIORS, COME OUT TO PLAY-I-AY!

Wróciliśmy! Przez prawie pół roku kroczyliśmy po świecie ścieżką sprawiedliwości i – niczym Kwai Chang Caine – pomagaliśmy ludziom za miskę ciepłej strawy oraz kawałek podłogi do spania. Przy okazji udało nam się też zebrać drużynę popkulturowych specjalistów (oczywiście wyjętych spod prawa oraz ściganych jak zwierzęta, którzy sami w końcu stali się myśliwymi, łowcami nagród – renegatami) i z ich pomocą stworzyliśmy nowy numer „Bród z kosmosu" – prawdopodobnie najbardziej owłosionego (i najfajniejszego) magazynu w galaktyce.

Co siedzi w środku? Koniecznie Daredevil, którego serialowa inkarnacja wyrwała nam serca i usmażyła je na ambrozji, a także wieści ze świata komiksów (Spider-Man, Black Panther), dużo kinowego dobra (*Gwiezdne wojny*, *Szybcy i wściekli*, Liam Neeson, VHS-y), wywiady oraz garść recenzji. Mamy nadzieję, że każdy znajdzie tutaj coś dla siebie. Podczas tworzenia magazynu bawiliśmy się prześwietnie – mimo nieustannej walki z czasem oraz przestrzenią – i mamy nadzieję, że uda nam się ukraść trochę waszego czasu, którego nie uznacie za stracony.

Czy powrócimy w podobnej formie? Jeśli morderczy Karzeł mógł polecieć w kosmos, to i my postaramy się wywalczyć sobie stałe miejsce w sieci. Potrzebujemy jednak waszej pomocy – dlatego dzielcie się naszym redakcyjnym dziełem i bawcie się dobrze!

Redakcja

38 **DOSYĆ TEGO BATMANA!**
Wojtek Nelec nigdy nie ukrywał swojego zamiłowania do pewnego długouchego superbohatera.Jest więc idealną osobą, aby przyjrzeć się temu, co DC planuje zdziałać w kinach przez najbliższe lata.

42 **SZKOŁA PACHNĄCA PLUTONEM**
Odkurzcie swoje nostalgiczne okulary i usiądźcie wygodnie. Czarna taśma wraca po wasze odtwarzacze VHS!

45 **NOWA NADZIEJA**
Siódme *Gwiezdne Wojny* pewnie trafią do kin wcześniej niż my skończymy trzeci numer, więc Bartek przygotował małe wyjaśnienie kogo będziemy wielbić/nienawidzić w grudniu.

48 **SZYBCY I WŚCIEKLI**
Prawdopodobnie wszyscy dobrze bawiliśmy się na filmach, w których Vin Diesel jeździ i wysadza samochody, ale czy wiemy, jaka jest dokładnie historia tej popularnej serii? Po przeczytaniu tego artykułu będziecie mogli śmiało zrobić doktorat z testosteronu!

56 **RECENZJE**
Co wspólnego mają ze sobą Scott McCloud, Dylan Dog, Mad Max i Żywe trupy? Wszyscy zostali zrecenzowani na ostatnich stronach.

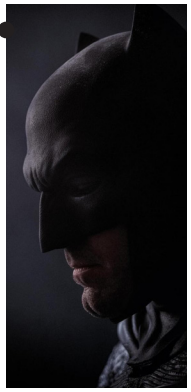

Redakcja:
Radosław Pisula, Robert Sienicki
Opracowanie graficzne i skład:
Robert Sienicki

Gościnnie napisali dla nas:
Dawid Głownia, Michał Wolski, Marcin Waincetel, Julian Jeliński, Jakub Ćwiek, Marcin Łuczak, Wojciech Nelec, Grzegorz Fortuna, Bartosz Czartoryski i Piotr Pluciński

www.outerspacebeards.blogspot.com

11 czerwca 2015, Wrocław

ZA GARŚĆ PYTAŃ WIĘCEJ

Jan Mazur to tegoroczny debiutant, chociaż tak naprawdę przyłożył już rękę do wielu komiksów. Był scenarzystą ***Rycerza Janka w kanałach szaleństwa***, redaktorem nieistniejącego magazynu ***Kolektyw*** oraz istniejącego jeszcze magazynu ***Profanum***, a za szorta ***Prawdziwa historia Syzyfa*** otrzymał statuetkę podczas Międzynarodowego Festiwalu Komiksu (i Gier) w Łodzi. ***Przypadek pana Marka*** to pierwszy album, który Jan zrobił w całości samodzielnie: wymyślił scenariusz i wyczarował rysunki. Więc taki, no, debiut.

Recenzja komiksu na stronie 56.

PIERWSZY FILM, KTÓRY CIĘ PRZERAZIŁ?

AMERYKAŃSKI REMAKE *THE RING*. OBEJRZAŁEM GO NA KLASOWYM WYJŚCIU W GIMNAZJUM. KOLEŻANKA SIEDZĄCA OBOK MNIE PRZELEŻAŁA WIĘKSZOŚĆ SEANSU POD STOSEM KURTEK. SAM DŁUGO NIE MOGŁEM SPOKOJNIE SPAĆ.

UKOCHANA ZABAWKA Z DZIECIŃSTWA?

CZERWONY PLUSZOWY DINOZAUR.

WSTYDLIWE DVD NA PÓŁCE?

CAMP ROCK. DOSTAŁEM NA URODZINY OD PEWNEGO BRODATEGO GOŚCIA Z KIEPSKIM GUSTEM.

Z JAKĄ POSTACIĄ KOMIKSOWĄ POZWOLIŁBYŚ SIĘ UMAWIAĆ SWOJEJ CÓRCE?

JEŚLI UMAWIAŁABY SIĘ Z FACETAMI, WTEDY BYŁBY TO CHYBA GOLIAT Z KOMIKSU TOMA GAULDA. JEŚLI Z KOBIETAMI, TO Z MŁODĄ PANNĄ JUSPECZYK ZE *STRAŻNIKÓW*.

IDEALNY FILM NA POPRAWĘ HUMORU?

300.

KSIĄŻKA, DO KTÓREJ NAJCZĘŚCIEJ WRACASZ?

JADĄC DO BABADAG STASIUKA.

NA JAKIM FILMIE OSTATNIO PŁAKAŁEŚ?

TOY STORY 3.

JAKĄ PIOSENKĘ SŁYSZYSZ TERAZ W SWOJEJ GŁOWIE?

TRUE SURVIVOR Z FILMU *KUNG FURY*.

FILM, KTÓRY MÓGŁBYŚ OGLĄDAĆ AŻ WYPŁYNĄ CI OCZY?

300.

JAKA FIKCYJNA POSTAĆ POWINNA ZAPUŚCIĆ BRODĘ?

TANK GIRL.

WYMARZONY PROJEKT?

INTELIGENTNY.

tekst:
DAWID GŁOWNIA

OBRAZKOWA WOJNA Z CZERWONYM ZAGROŻENIEM:

SUBIEKTYWNA DZIESIĄTKA NAJLEPSZYCH ANTYKOMUNISTYCZNYCH HISTORII W AMERYKAŃSKIM KOMIKSIE LAT 50.

Zimna wojna odcisnęła się silnym piętnem na amerykańskiej kulturze popularnej, zwłaszcza filmie i komiksie. Jej popkulturowe dziedzictwo stanowią setki mniej lub bardziej otwarcie antykomunistycznych narracji, tworzonych ze zmiennym natężeniem niemal od chwili zakończenia II wojny światowej aż do rozpadu ZSRR. Na gruncie komiksu szczytowy okres symbolicznej walki z czerwonym zagrożeniem przypadł na lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte, z pominięciem krótkotrwałego odprężenia, jakie wystąpiło po 1956 roku w reakcji na kompromitację makkartyzmu w oczach opinii publicznej, destalinizację ZSRR oraz odwilż w relacjach amerykańsko-radzieckich.

Daleko posunięte zaangażowanie amerykańskiej branży komiksowej w batalię z ideowym i politycznym wrogiem USA nie było bynajmniej zjawiskiem bezprecedensowym. Wszak jeszcze przed przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do II wojny światowej część twórców komiksów stawiała swych bohaterów naprzeciw hitlerowskich hord, początkowo zawoalowanych, później wskazywanych eksplicytnie, zaś po ataku na Pearl Harbor obrazkowi herosi równomiernie rozkładali ciosy między żołnierzy i agentów nazistowskich Niemiec oraz imperialistycznej Japonii. O ile jednak w okresie II wojny światowej przemysł komiksowy przystąpił do dzieła spontanicznie, o tyle dekadę później uczynił to po części ze względu na wysuwaną pod jego adresem krytykę (choć istotną rolę odgrywały również osobiste przekonania jego pracowników i komercyjne motywacje wydawców). **Po zakończeniu wojny rynek komiksowy intensywnie się rozwijał**, zarówno pod względem liczby ukazujących się tytułów, jak i wyników sprzedaży. Równolegle jednak medium było atakowane przez polityków, kler, psychologów i grupy rodzicielskie za rzekome ogłupianie oraz demoralizowanie młodzieży, rozbudzanie w niej fascynacji przemocą i makabrą, a nawet propagowanie komunizmu. W kilku miejscach, jak choćby w Binghamton w stanie Nowy Jork, doszło wręcz do przypadków **publicznego palenia barwnych periodyków**. Zaangażowanie się branży komiksowej w antykomunistyczną krucjatę wynikało po części z chęci zademonstrowania jej patriotycznej postawy i społecznej odpowiedzialności.

Główne areny walki z **czerwonym zagrożeniem** w ramach amerykańskiego rynku komiksowego lat pięćdziesiątych stanowiły tytuły wojenne i szpiegowskie, wątki (anty)komunistyczne pojawiały się jednak również – choć w mniejszym natężeniu i nie zawsze w sposób dosłowny – na kartach **komiksów superbohaterskich, kryminalnych, przygodowych, fantastycznych, grozy**, a nawet **romansów**. Bohaterowie kolorowych zeszytów, którzy nie walczyli na froncie, począwszy od obdarzonych nadludzkimi zdolnościami superherosów, a skończywszy na zwykłych obywatelach, regularnie stawali naprzeciw radzieckich agentów, próbujących przeprowadzić akcję sabotażową, wykraść amerykańskie sekrety militarne i naukowe, zorganizować czerwoną piątą kolumnę na terenie USA, dokonać **komunistycznego przewrotu** w innych krajach lub zaszkodzić amerykańskim relacjom dyplomatycznym. W przypadku opowieści fantastycznych zimnowojenne niepokoje wygrywano zazwyczaj na sposób metaforyczny, zastępując komunistów różnorakimi **monstrami** i przedstawicielami pozaziemskich cywilizacji, dokładając jednak starań, by symbolika była czytelna.

Poniżej przedstawiam **skrajnie subiektywną** listę dziesięciu najlepszych antykomunistycznych historii, jakie zagościły w latach pięćdziesiątych na łamach komercyjnych amerykańskich tytułów komiksowych. Choć podstawowy klucz doboru opowieści stanowiła ich **miodność** (co często przekłada się na **kuriozalność**), postarałem się jednocześnie o to, by prezentowały one możliwie szerokie spektrum gatunkowe i tematyczne. By uniknąć wartościowania, wykaz ułożyłem w porządku **chronologicznym**.

1. DEATH TRAP IN IRAN

(***T-Man*** #3, styczeń 1952)

Peter Trask, pracownik amerykańskiego Departamentu Skarbu, regularnie krzyżował szyki radzieckim szpiegom i sabotażystom. W jednej z historii z jego udziałem **czerwoni agenci** omal nie doprowadzili do zerwania brytyjsko-irańskich pertraktacji w sprawie przyznania Wielkiej Brytatnii i Stanom Zjednoczonym wyłącznych praw do eksploatacji irańskich złóż ropy naftowej. Ich plan był **iście diaboliczny**: świeżo zwerbowany sobowtór Traska rzucił w irańskiego emira **kwiczącą świnką**, co – jak dowiedział się czytelnik – stanowi największą zniewagę, jaką można wyrządzić muzułmaninowi. Na szczęście dla wolnego świata tytułowy bohater przybył na miejsce i ujawnił spisek, dzięki czemu rozmowy zostały wznowione. Gdyby faktyczne władze Iranu wzięły przykład z otwartego na współpracę komiksowego emira, najpewniej udałoby się uniknąć zamachu stanu, jaki przeprowadzono w kraju w 1953 roku z inspiracji Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych.

2. CAPTAIN MARVEL JR. AND THE SPACE VOTERS

(***Captain Marvel Jr.*** #116, grudzień 1952)

Zimnowojenne niepokoje związane z obecnością na terenie USA głęboko zakonspirowanego wrogiego elementu, potęgowane zarówno przez przypadki faktycznego szpiegostwa, w tym **słyną sprawę Rosenbergów**, jak i alarmistyczny dyskurs polityczny i medialny, znalazły odbicie na gruncie komiksu fantastycznego. Komunistycznych szpiegów, sabotażystów i mącicieli zazwyczaj ukazywano w jego ramach jako zmiennokształtne monstra oraz istoty z innej planety, przybierające ludzką postać i przygotowujące grunt pod podbój Ziemi. Trend ten dobrze ilustruje historia opublikowana w jednym z ostatnich numerów serii ***Captain Marvel Jr.***. To w niej tytułowy bohater udaremnia spisek **jaszczurokształtnych Marsjan**, którzy od lat inwigilują USA, upodabniając się do ludzi poprzez gumowe maski. Obcy czekali, aż będzie ich na tyle dużo, by mogli wybrać na prezydenta swego kandydata, który doprowadzi kraj do wojny, co ułatwi im inwazję na Ziemię. Sygnałem do działania jest nazwisko jednego z kandydatów na urząd prezydenta – B. A. Naitram, które przeczytane od tyłu w połączeniu z fonetyczną wymową inicjałów przekłada się na hasło **Bądź Marsjaninem** (Be a Martian).

3. WARLORD

(***Young Men on the Battefield*** #18, grudzień 1952)

Twórcy komiksów podejmujących temat komunizmu czynili wyraźne rozróżnienie na okrutny aparat władzy i niewinnych obywateli żyjących pod jego butem. Przedstawiciele władz byli odmalowywani jako osobnicy **zdegenerowani, krwiożerczy i wyrachowani**. W komiksie wojennym charakterystykę tę podzielali oficerowie wojsko komunistycznych, gotowi bez mrugnięcia okiem poświęcić życie swych żołnierzy, byleby zrealizować zamierzony cel. Skrajnym przykładem tego typu kreacji jest północnokoreański pułkownik Ping Nam Sat, zmuszający swych wziętych do niewoli podwładnych do wzniecania buntów w obozach jenieckich. Nieludzki oficer chce, by strażnicy otwierali ogień do jego ludzi, dzięki czemu **komunistyczna propaganda** będzie mogła przedstawić Amerykanów jako rzeźników. Nie jest to jednak w smak jednemu z podwładnych Pinga, który postanawia zatroszczyć się o to, by jego przełożony już nigdy nie wydał żadnego rozkazu.

4. RUSSIAN DEVIL

(***Mystic***, marzec 1953)

Ivan Petroff to główny pretendent do tytułu **najokrutniejszego komiksowego komunisty** lat pięćdziesiątych. Za cara – kat, za władzy sowieckiej – komendant obozu pracy, który tak kochał zabijać, że gdy przyglądał się egzekucjom, jego usta wykrzywiał sadystyczny uśmiech, a z oczu płynęły łzy radości. Gdy któryś z rozstrzeliwanych nie ginął na miejscu, Petroff rzucał się na dowódcę plutonu egzekucyjnego i bił go, wyzywając od **kułaków i imperialistycznych świń**. Podczas jednego z takich wybuchów gniewu „rosyjski diabeł" dostaje ataku serca. Na łożu śmierci stwierdza, że miał dobre życie, mogąc zabić tak wielu ludzi, lecz teraz pragnie odpocząć. Śmierć ma jednak względem niego inne plany – wyciąga ducha Petroffa z grobu, by uczynić z niego swego pomocnika, który będzie **mordował bez wytchnienia** po wsze czasy, jako że nikt inny nie nadaje się na to stanowisko lepiej niż on.

5. IRON CURTAINS FOR IVAN

(***Jet Fighters*** #7, marzec 1953)

Kluczowy moment w historii przedstawiania postaci pochodzących z bloku wschodniego na kartach komiksu superbohaterskiego stanowi ideowa wolta **Czarnej Wdowy**, która przestała wykonywać polecenia mocodawców z Kremla, odrzuciła komunizm i rozpoczęła współpracę z amerykańskimi herosami. Niemniej, już w latach pięćdziesiątych w komiksach, głównie wojennych, zaczęli pojawiać się obywatele państw komunistycznych, którym stopniowo otwierają się oczy na zbrodniczość komunistycznej ideologii i kłamstwa ich przywódców. Z reguły byli to Azjaci, okazjonalnie jednak rola ta przypadała Rosjanom. Jednym z nich był Ivan Petrovich, pilot walczący w Korei przeciw siłom ONZ. Dwa tygodnie po przybyciu na miejsce jest świadkiem, jak jego przełożony wysyła na pewną śmierć innego pilota, tylko dlatego, iż ten zauważył, że ZSRR nie jest w stanie wojny z państwami członkowskimi ONZ. Nieco później odkrywa, że jednym z instruktorów jest niemiecki as lotnictwa z drugiej wojny światowej – a przecież **komuniści nienawidzą nazistów**. Wkrótce też zauważa, że choć komunistyczna propaganda naucza o amerykańskim rasizmie, to kolorowi żołnierze walczą w ich armii ramię w ramię z białymi, a pilot jednego z jankeskich samolotów jest czarnoskóry. Kiedy jednak Petrovich w końcu osiąga pełnię świadomości zbrodniczej natury komunizmu, jest już za późno – jego samolot zostaje zestrzelony przez amerykańskiego żołnierza, a on sam ginie w płomieniach.

6. THE THING THAT WAITED!

(***Adventures into Weird Worlds*** #3, marzec 1953)

Duch amerykańskiego pilota zestrzelonego nad Koreą wdaje się w rozmowę z przybyszem z planety Trisis. Ten wyjawia mu, że przedstawiciele jego rasy od dawna przebywają na Ziemi, przygotowując się do jej podboju. Dodaje, że **Trisisianie wsparli nawet Ziemian w wojnie**, tylko po to, by zdobyć ich zaufanie, równolegle budując swą potęgę. Kiedy kosmita kończy wywód, **transformuje się w Stalina**, zaś kroczące w tle pozaziemskie oddziały zmieniają się w Armię Czerwoną. *Rzecz, która czekała* jawi się jako historia wręcz stworzona w celu legitymizacji ideologicznych odczytań komiksów fantastycznych, które w fikcyjnych monstrach i obcych, wyczekujących na odpowiednią chwilę, by zawładnąć ziemią, nakazują widzieć rzeczywistych komunistów.

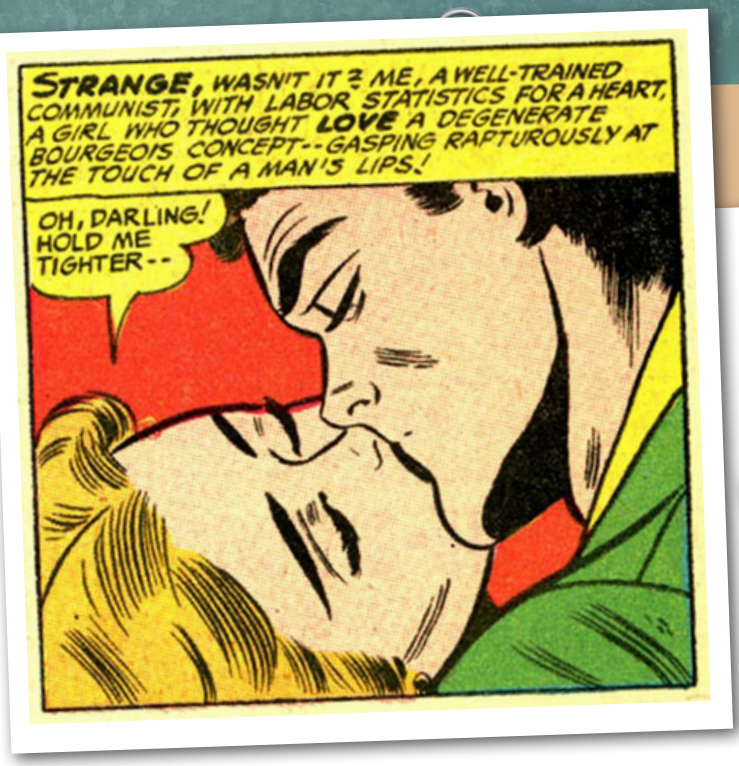

7. COMMUNIST KISSES!

(***Confessions of the Lovelorn*** #56, luty 1954)

Czerwona panika lat pięćdziesiątych dała o sobie znać nawet w komiksowych romansach, choć należy przyznać, że na zdecydowanie mniejszą skalę niż w przypadku innych gatunków. Antykomunistyczne romanse z reguły utylizowały motyw piątek kolumny, rozsiewającej na terenie USA radziecką propagandę i werbującej kolejnych agentów. Na ich tle wyróżnia się historia Sonii Lubyanki, którą przy odrobinie dobrej woli można uznać za luźną **trawestację Ninoczki**. Bohaterka była niegdyś zatwardziałą komunistką, wysłaną na przeszpiegi do amerykańskiej ambasady w Moskwie. W momencie, w którym snuje swą opowieść, mieszka już jednak w USA, wyzwoliła się spod władzy komunizmu i marzy, by kiedyś ktoś nazwał ją dobrą amerykańską dziewczyną. „Nawrócenie się" zawdzięcza potędze **miłości i pocałunków** asystenta ambasadora. Aż trudno uwierzyć, że nie tak dawno temu Sonia była przekonana, iż miłość jest niczym więcej niż konceptem stworzonym przez zdegenerowanych burżujów.

8. THE CARGO OF DEATH

(***Young Men*** #28, czerwiec 1954)

W 1953 roku, po ponad trzyletniej nieobecności, do nadwątlonego superbohaterskiego panteonu na krótko powrócił **Kapitan Ameryka**. Niestety, najpopularniejszy superpatriota nie zdążył załapać się na wojnę w Korei, toteż musiał zadowolić się okazjonalnym wdzieraniem się na tereny państw komunistycznych i walką z sowiecką agenturą. W jednej z ostatnich historii przed ponownym przejściem na emeryturę heros udaremnił przemyt do Związku Południowej Afryki wartych milion dolarów narkotyków, które miały doprowadzić do wybuchu buntu, stanowiącego kolejny krok w ogólnoświatowej **rewolucji komunistycznej**. Co prawda twórcy nie ujawnili, jakie są związki między narkotykami a komunistyczną rewolucją, zakładam jednak, że skojarzenie to opiera się na przekonaniu, iż oba te zjawiska są złe. Trzymajcie się więc z daleka od **narkotyków** – sami widzicie, do czego mogą doprowadzić.

9. THE MYSTERY OF KULA MOUNTAIN

(***Jungle Action*** #2, grudzień 1954)

Jungle Boy był jednym z licznych wariantów figury białego władcy dżungli, jacy gościli na kartach komiksów Marvela – działającego wówczas pod szyldem **Atlas Comics** – zanim wydawnictwo zdecydowało się przywrócić sprawdzonego Ka-Zara. Wydawać by się mogło, że afrykańska dżungla nie jest miejscem, gdzie można natknąć się na wielu komunistycznych agentów, jednak scenarzyści tytułów przygodowych niejednokrotnie zadawali temu przekonaniu kłam, udowadniając, iż **czerwone zagrożenie może czaić się wszędzie**. W przytaczanej tu historii młody pretendent do tytułu nowego Tarzana mierzy się z byłym cyrkowcem, chcącym wybić wszystkich rdzennych mieszkańców dżungli, w której żyje bohater, by mieć niczym nie ograniczony dostęp do dzikich zwierząt. Bestiom tym ma zamiar aplikować specyfik, który sprawi, że wpadną w szał i zaatakują amerykańskich żołnierzy, gdy nadejdzie wezwanie do komunistycznej rewolucji. Szaleniec jest przekonany, że uczyni go to **ważną personą w czerwonych kręgach**. Oddając władzom Kremla sprawiedliwość należy podkreślić, że nic nie wskazuje na to, by cyrkowiec konsultował z nimi swój pomysł – gdyby tak się stało, te najpewniej postukałyby się w głowę.

10. I AM THE BEAST-MAN!

(***Journey Into Mystery*** #59, czerwiec 1960)

Uwzględniając tę historię w wykazie nieco oszukałem, bowiem opublikowano ją w połowie 1960 roku, niemniej nie mogłem powstrzymać się przed zaprezentowaniem mojego faworyta w kategorii „najlepsza **komunistyczna narracja** wszechczasów". Komiksowi sowieccy agenci często opracowywali rozbudowane, a przy tym dość kuriozalne intrygi, mające przechylić szalę zwycięstwa w konflikcie zimnowojennym na korzyść ZSRR. Trudno jednak o plan bardziej skomplikowany logistycznie, a zarazem rokujący tak małe szanse na powodzenie, niż ten, na jaki wpadli mocodawcy Igora Grozicka. Przedstawiał się on zaś następująco: 1) Rosyjska łódź podwodna przerzuci Grozicka do USA, w pobliżu poligonu, gdzie odbywają się amerykańskie testy broni atomowej, 2) Na miejscu Grodzik przebierze się **w kostium niedźwiedzia**, stanie przed jankeskimi naukowcami i oznajmi, że jest zwierzęciem, które pod wpływem promieniowania posiadło zdolność myślenia i mowy; 3) Grozick będzie występował przed Amerykanami, a kiedy stanie się popularny, ujawni na wizji, że naprawdę jest człowiekiem w przebraniu niedźwiedzia. Cel? Dyskredytacja USA w oczach światowej opinii publicznej jako **głupiego narodu**. Kiedy jednak ma nastąpić niecodzienny coming-out Grodzicka, okazuje się, że pod maską kostiumu kryje się prawdziwa morda niedźwiedzia – tak wpłynęła na niego **dawka promieniowania**, jaką przyjął na poligonie.

Parafrazując Nikosa Kazantzakisa i jego „piękną katastrofę", można śmiało powiedzieć, że Patykiewicz stworzył piękną apokalipsę. Mroczną, przejmującą, wypełnioną mistycyzmem, a jednocześnie niesłychanie liryczną i mądrą. Zdecydowanie jedna z najciekawszych i najdojrzalszych wizji fantastycznych ostatnich lat.
MATEUSZ UCIŃSKI, GAZETA.PL

PREMIERA 3 CZERWCA

SQN
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SPIDER-VERSE

CZYLI ILE PAJĄKÓW ZMIEŚCI SIĘ W TRABANCIE

Co jest lepsze od Spider-Mana? Dwóch Spider-Manów! A od dwóch? Bardzo duże ilości naraz Spider-Manów! A przynajmniej taka koncepcja przyświecała Danowi Slottowi i Olivierowi Coipelowi, którzy całkiem niedawno postanowili dać czytelnikom komiksów Marvela szansę zobaczenia każdego – absolutnie każdego – możliwego Spider-Mana w jednej historii.

tekst:
MICHAŁ WOLSKI

50 TWARZY SPIDER-MANA

Od razu powiem, że kilku znanych skądinąd pajęczych postaci tam nie ma, a parę (np. znany w Polsce Człowiek-Pająk z kreskówki ***Spider-Man and His Amazing Friends***) ginie poza kadrem, ale i tak rozmach tej opowieści jest niezwykły. Tym bardziej, że nic go tak naprawdę nie zapowiadało. Pojawiały się zajawki i wywiady z twórcami, ale to wszystko w przypadku Marvela należy zawsze dzielić przez cztery, a dodatkowo wydarzenia doprowadzające do ***Spider-Verse*** były od siebie odległe i zasadniczo niepowiązane.

Bo podwaliny pod tę historię położyło dwóch scenarzystów, którzy tak naprawdę nie mieli z nią potem nic wspólnego. Pierwszym z nich był J. Michael Straczynski, który w wydanym w Polsce komiksie ***Spider-Man: Powrót do domu*** wprowadził postać multiwersalnego wampira żywiącego się totemiczną energią, Morluna. To właśnie on i jego rodzina są głównym zagrożeniem dla Spider-Manów z różnych rzeczywistości, którzy muszą się zjednoczyć, aby ich powstrzymać. Drugą bezpośrednią inspiracją tej opowieści była miniseria ***Spider-Men*** autorstwa Briana Michaela Bendisa – historia pierwszego spotkania oryginalnego Spider-Mana (Petera Parkera z Ziemi-616) ze Ścianołazem w wersji Ultimate (Milesem Moralesem z Ziemi-1610). Ta kameralna, mało dynamiczna, ale niezwykle udana historia sprawiła, że fani chcieli więcej.

CHCIAŁEŚ PAJĄKÓW. TO TERAZ...

Spider-Verse było zaskakująco dobrze pomyślane. Konflikt z Morlunem i jego rodziną faktycznie prowadzi do eskalacji, po drodze ginie wiele pajęczych postaci, a ostateczny sukces jest wypadkową cząstkowych osiągnięć poszczególnych Spider-Manów w poszczególnych mediach. Udało się bowiem – niejako przypadkiem – sprząc ***Spider-Verse*** z serialem animowanym ***Ultimate Spider-Man*** i aplikacją mobilną ***Spider-Man Unlimited***. Ta gra wprawdzie większego znaczenia nie ma, ale bohaterowie kreskówki (w nieco odmienionym składzie, ale mniejsza z tym) dołączyli do komiksowego ***Spider-Verse*** w samą porę na ostateczną bitwę i przynajmniej na moment przeważyli szalę zwycięstwa.

Dobrym pomysłem okazało się również nowatorskie, jak na komiksy, wyprowadzanie pewnych składowych historii poza główną oś fabularną. Najważniejsze wydarzenia rozgrywają się na łamach serii ***The Amazing Spider-Man*** (miniseria ***Spider-Verse*** stanowi coś w rodzaju obrazków z placu boju i nie ma większego wpływu na fabułę). Co jakiś czas jednak Peter Parker (albo ktoś inny) wysyła kogoś gdzieś na specyficzną misje i te sytuacje możemy obserwować w innych seriach (jak ***Scarlet Spiders*** albo ***Spider-Woman***) właściwie od razu. Koordynacja poszczególnych serii jest dokładniejsza niż kiedykolwiek wcześniej, przez co całe ***Spider-Verse*** czyta się bardziej jak wielowątkową, rozbudowaną powieść graficzną, niż typowe wydarzenie komiksowo-superbohaterskie.

SPIDER-GWEN, SPIDER-BEN, SPIDER-MAY...

I choć piszę to niejako wbrew sobie, ogromna w tym zasługa wieloletniego scenarzysty komiksów o Spider-Manie, Dana Slotta. Nie tylko przypilnował skrupulatności w opowiadaniu historii, ale też postawił na to, co w komiksach superbohaterskich najważniejsze, czyli postaciocentryczność. Trudno inaczej podejść do historii, której główną osią ma być nagromadzenie pajęczych postaci, ale ciężko też uniknąć swego rodzaju klęski urodzaju, jaka może się z tym wiązać. Slott jej uniknął. A osiągnął to przede wszystkim stawiając na dużą różnorodność postaci, z których każda jest Człowiekiem-Pająkiem (względnie Małpą-Pająkiem albo Świnką-Pająkiem, mniejsza o to), ale prawie żadna Peterem Parkerem. Przynajmniej spośród głównych rozgrywających. Pozwoliło to na stworzenie niesamowicie miodnej dynamiki w interakcjach między postaciami, której podstawowa oś przebiegała na linii konfliktu między Amazing a Superior Spider-Manem (Peterem Parkerem i Ottonem Octaviusem w ciele Parkera), ale nie tylko.

Bardzo ważni i szalenie atrakcyjni charakterologicznie są również Kaine Parker (Scarlet Spider), Cindy Moon (Silk) oraz May „Mayday" Parker (Spider-Girl), nie wspominając o Spider-Manie 2099, Spider-Hamie, pajęczym wujku Benie, pajęczej cioci May z bufiastymi rękawami, pajęczym Kapitanie Brytanii, pajęczej córce Hawkeye'a (to też temat na inną opowieść), Supaida-Manie i jego mechu Leopardonie, czy nowych postaciach, z których nie sposób nie wspomnieć o znakomitej Spider-Gwen (Gwen Stacy ze świata, w którym to ona została ukąszona przez pająka i obwinia się za śmierć... Petera Parkera). Ta zbieranina jest na tyle absurdalna, że trudno traktować ją poważnie, ale właśnie ten klimat groteski Slott umiejętnie kontruje tragizmem i powagą poszczególnych wydarzeń. Mamy więc to, co najważniejsze w klimacie Spider-Mana – humor przetykany cięższymi tematami – tylko że spotęgowane. Przez liczbę Spider-Manów.

CO DALEJ?

Po ***Spider-Verse*** zostało nam kilka serii komiksowych i parę otwartych wątków, które pewnie zostaną wykorzystane. Na pewno cieszą zgrabne i kameralne opowieści o Silk oraz Spider-Gwen w ich własnych seriach komiksowych, istnieje też sugestia powrotu Superior Spider-Mana. W ***Secret Wars***, trwającym właśnie wydarzeniu Marvela, zapowiedziano kolejną serię o ***Spider-Verse***; pytanie, czy będzie to tylko komiks o losach poszczególnych Spider-Manów w obliczu nowego zagrożenia, czy też dostaniemy nową jakość? Bo o ***Spider-Verse*** można i trzeba rozmawiać w kategoriach jakości. Slott, którego osobiście nie uważam za najlepszego scenarzystę (a na pewno jest w Marvelu kilka osób, które poprowadziłyby postać Spider-Mana lepiej od niego), wzbił się na wyżyny, doskonale wiedział co chce zrobić i jak. Szkoda, że nie wszyscy w wydawnictwie mają tak solidne podejście do swojej pracy... ale to już inny temat.

WSPOMNIENIA Z AKCJI

ZAGRAJ TO JESZCZE RAZ, LIAM

tekst:
MARCIN WAINCETEL

Spokojny tembr głosu, poczciwa północnoirlandzka twarz oraz słowa zapadające w pamięć... Ich sens jest prosty i uderzający, jak lewy sierpiowy Gołoty – istnieje facet, który będzie się za tobą rozglądać, znajdzie cię, a następnie zabije. To kara za porwanie córki. Musicie kojarzyć tę scenę z filmu ***Uprowadzona***! No i cóż, Liam Neeson raczej nie mógłby pracować na infolinii, nie wróżyłbym mu też specjalnej kariery rodzinnego mediatora. Szczęśliwie znalazł swoje miejsce właśnie w kinematografii, stając się ostatnio prawdziwą ikoną produkcji sensacyjnych i – zaskoczenie – szeroko pojętego nurtu familijnego. Tak przynajmniej lubię o nim myśleć.

Początkowe porównanie do bokserskiego fachu nie jest wcale bezpodstawne. Neeson, zanim zajął się rzemiosłem aktorskim, zawodowo jeździł za kierownicą ciężarówek, trenował i zarabiał na życie także jako pięściarz. Zwykły facet pochodzący z okolic Belfastu byłby pewnie świetnym towarzyszem barwnych rozmów przy kilku Guinnessach tudzież innym wyskokowym trunku w knajpie schowanej za brytyjską, nastrojową mgiełką. Po kryzysie, związanym ze śmiercią swojej żony, aktor na dobre odstawił alkohol. Żeby jednak nie wpadać w zbyt grobowy nastrój, trzeba stwierdzić, że ostatnimi czasy Neeson wchodzi świetnie zupełnie na trzeźwo. Jakieś konkretne wspomnienia? Oczywiście z kina akcji! Goni, łapie, strzela, nurkuje, lata, a dodatkowo przetrwa zimę, marudzenie kobiet czy zabawny akcent albańskich terrorystów. **Zawód: były szpieg.** Liam Neeson jako Bryan Mills, we wszystkich trzech częściach „Uprowadzonej", jest agentem służb specjalnych, który nawet na emeryturze nie ma spokojnego życia. Problemy wychowawcze z córką rozsmakowaną zagranicznymi imprezami w światowych metropoliach (Paryż – w części pierwszej, Stambuł – w kontynuacji) sprawia, że na koncie staruszka pojawiają się rachunki do wyrównania. Alkohol kosztuje, ale jeszcze więcej problemów przynoszą zorganizowane grupy przestępcze zajmujące się handlem żywym towarem. W ostatnich przygodach Mills ma jednak problemy z własnym rządem i tym, że – mówiąc krótko – ktoś próbuje mu przypisać dodatkową, niewinną ofiarę. Łebski agent potrafi jednak liczyć – no i mamy kolejny konflikt...

Umówmy się – trzy części *Uprowadzonej* są rozrywką prostą i dosyć przewidywalną, a przez to, że odwołują się do dobrze znanych schematów... zwyczajnie satysfakcjonującą.

▪ Plakat filmu, który w naszych sercach zapisze się jako *Liam Neeson w samolocie.*

Kino zbudowane na kanwie wspólnych elementów: ten sam bohater, z którym łatwo jest się nam identyfikować (Polacy lubią Irlandczyków), bardzo zbliżona sytuacja wyjściowa (trudne sprawy), dobrze znany obraz świata (brakuje tylko – „Jesteśmy w Mediolanie!"), jednakowa ikonografia (zachodzące słońce, postrzelona głowa...) – tak powinno się odczytywać gatunkowe wzorce! Emocjonalny stosunek do tego, co dzieje się na na ekranie, doskonale koresponduje z mieszanką adrenaliny, odpowiednim stężeniem testoseronu, kaskaderskimi wybuchami i gonitwą myśli skutecznie zagłuszaną przez serie z karabinu.

Mało? Co więcej? Jeśli **Woody Allen** serwuje nam romantyczne pocztówki z europejskich miast miłości (*Vicky, Cristina, Barcelona*, *O północy w Paryżu*, *Zakochani w Rzymie*), to **Luc Besson**, producent i scenarzysta przygód Neesona, ma pomysł na to, jak przedstawić brutalne, bezkompromisowe rozwałki na tle Hagii Sophii czy nastrojowych uliczek stolicy Francji. W tym drugim przypadku trzeba się jednak liczyć z solidną polisą na życie. A że idzie to w seryjność? **Tym lepiej! Przecież lubimy to, co znane.**

Zresztą, wcale nie zdziwiłbym się, gdybyśmy za kilka lat mieli maratony z filmami Liama Neesona. On w jakimś sensie cały czas gra jedną postać. Podobnego herosa znajdziemy na przykład w niedawnym filmie ***Non-Stop,*** gdzie agent federalny z wyjątkowo pogłębionym rysem psychologicznym walczy z tajemniczymi terrorystami na pokładzie samolotu pasażerskiego. Nie inaczej jest w ***Przetrwaniu***, w którym Ottway, mężczyzna w średnim wieku, zmaga się z demonami przeszłości, odejściem żony i walką o przeżycie – tym razem z dziką naturą stanu Alaska. Z kolei w ***Nocnym pościgu*** okazuje się ostatnim sprawiedliwym w mafijnym półświatku, gdy ratując swego syna podpisuje na siebie wyrok śmierci. Tanio skóry jednak nie sprzeda.

Wspólnym mianownikiem tych filmów jest bezsprzecznie zatroskany bohater, którego głównym zadaniem jest z jednej strony odkupienie własnych win tudzież uporanie się z rodzinnymi problemami, z drugiej zaś rozwiązanie konfliktów osnutych wokół sensacyjnych wydarzeń, pościgów, walki z przeciwnościami losu. Liam Neeson to najtwardszy z twardzieli. Na wzburzonym morzu porachunków z gangsterami jego busolą jest jednak troska o najbliższych. Wybaczcie patos! A jeśli chodzi o wartości familijne... gwarantuję, że w 250. jubileuszowym odcinku ***Family Guy'a*** gościnny występ północnoirlandzkiego aktora będzie jednak walką na łamanie kości i wykrzywianie min widzów w spazmatycznym śmiechu szaleństwa.

Mam wrażenie, że także pierwsza część ***Uprowadzonej***, odmienianej tutaj przez wszystkie możliwe przypadki (no dobra, prawie), zaowocowała swoistym renesansem kina sensacyjnego. Na myśl przychodzą mi choćby ***Bez litości*** z Denzelem Washingtonem jako byłym agentem specjalnym, obrońcą młodej dziewczyny i kopaczem pośladków rosyjskich zakapiorów, oryginalny ***John Wick*** w którym Keanu Reeves powraca do mafijnego rzemiosła mszcząc się za śmierć swojego psa, czy niedawny ***Gunman***, gdzie Sean Penn jest międzynarodowym szpiegem... zresztą, nieważne. W końcu wiadomo co, mniej więcej, może zrobić. Trzeba zaznaczyć, że twórcą tej ostatniej produkcji jest Pierre Morel, reżyser odpowiedzialny za pierwszą część przygód Briana Millsa. Emerytowani zawadiacy stojący po stronie praworządności? Avengers akcyjniaków, którzy przekonują, że lata 90. w kinie sensacyjnym wciąż trwają? Dokładnie!

Zagraj to jeszcze raz, Liam!

JEDNA ZASADA –

VRECK
VREST

MIĘDZYWYMIARO

kult
gnie

ŻADNYCH ZASAD

KLESS
TLERS

WE MISTRZOSTWA

G

tura
ewu

KIM JEST BLACK PANTHER?

tekst:
JULIAN JELIŃSKI

Gdy w październiku zeszłego roku Kevin Feige przedstawiając kolejne tytuły opowiadał o III Fazie MCU, uwaga większości fanów skupiona była na trzeciej części *Avengers*, drugich *Strażnikach Galaktyki* i przede wszystkim *Wojnie Domowej* – starciu Capa z Iron Manem (najwyraźniej o to, kto lepiej rąbie drewno). Możliwe też, że spora część fanów po raz pierwszy usłyszała wtedy o tajemniczym władcy z Afryki Środkowej, który dostanie własny film – Black Pantherze. Skoro zatem za trzy lata Marvel uraczy nas pierwszym filmem poświęconym czarnemu superbohaterowi (wybaczcie, *Steela* wyrzuciłem z pamięci, by nie wracać do tej traumy, a *Blankmana* przez grzeczność przemilczę), warto odpowiedzieć na pytanie skąd się ów Black Panther wziął i co właściwie roli w planach filmowych Marvela.

Zacznijmy od początku:

Pierwsza połowa XX wieku to w amerykańskich komiksach czas bezdyskusyjnej dominacji białego koloru skóry. Co gorsza, jedyny niechlubny wyjątek, Whitewash Jones, nie dość, że był ledwie leniwym pomocnikiem pomocnika Kapitana Ameryki, to w dodatku żyjącym uosobieniem najgorszych rasistowskich stereotypów na temat czarnych. Zmiany przyszły wraz z erą walki o prawa obywatelskie. Bojkot autobusów w Montgomery, marsz na Waszyngton, pokojowa nagroda Nobla dla Martina Luthera Kinga, czy w końcu podpisanie ustaw o prawach obywatelskich – te głębokie zmiany zachodzące w społeczeństwie amerykańskim nie mogły nie odbić się na twórcach komiksów. I wraz z drugą połową lat 60. na kolorowych kartach zagościły pierwsze śniade postaci, a wśród nich i władca Wakandy.

Pamiętajmy, że w latach 60. wszyscy scenarzyści Marvela (oraz DC) byli biali i niespecjalnie obeznani ze sposobem życia, myślenia i problemami czarnych. A to na ich barkach leżał ciężar wymyślenia pierwszego czarnoskórego bohatera. Ryzyko stworzenia jednowymiarowej wydmuszki, złożonej ze stereotypowych łatek i cech uznawanych przez białych za „akceptowalne", było niezwykle wysokie. Jak napisał Russell W. Dalton – łatwiej było tworzyć obcych, krasnoludów oraz elfy, niż wykreować czarnego bohatera i zmierzyć się z rasowymi problemami. A jednak, nieprawdopodobnie i pewnie w dużej mierze przypadkowo, udało im się.

Ojcami Black Panthera są Stan Lee i Jack Kirby, a ich (kolejne już) dziecko przyszło na świat w lipcu 1966 roku na łamach komiksu *Fantastic Four* numer 52.

Black Panther pojawił się w animowanym miniserialu, opartym na komiksie Reginalda Hudlina i Johna Romity Jr.

Pantera w wizji Lee i Kirby'ego stał się władcą maleńkiego kraju w środkowej Afryce – Wakandy – który nigdy nie został podbity ani skolonizowany przez zachodnie mocarstwa. Co więcej, królestwo jest niezwykle zaawansowanie technologicznie – obok drewnianych tarcz leżą lasery, a w pobliżu prerii rozciągają się mechaniczne lasy, gdzie też znajdują się złoża niezwykle rzadkiego surowca – wibranium – który potrafi pochłaniać wszelkie drgania (to z niego stworzona jest tarcza Kapitana Ameryki oraz cały strój Black Panthera. Filmowa wersja wibranium zadebiutowała niedawno w *Avengers: Czas Ultrona*).

No dobrze, wybór ojczyzny Black Panthera budził wątpliwości, ale sposób przedstawienia Wakandy obawy te rozwiał. Co jednak z samym bohaterem? Otóż Black Panther to przechodni tytuł władcy państwa, nie zaś samego bohatera (co chyba nie jest żadną niespodzianką w Marvelu). W momencie komiksowych „narodzin" pod maską pantery skrywa się T'Challa, książę Wakandy, który zdobył swój tytuł podczas corocznej ceremonii, gdy każdy może zmierzyć się z Czarną Panterą w walce wręcz. Jakim bohaterem okazał się T'Challa stworzony przez Lee i Kirby'ego? Jest najbogatszym człowiekiem na Ziemi (ze względu na złoża wibranium), ale nie wykorzy-

Tak prawdopodobnie prezentować się będzie T'Challa w nadchodzącym filmie *Captain America: Civil War.*

stuje swoich pieniędzy na własne rozrywki, lecz rozwija technologię, obronność i bezpieczeństwo kraju. Poza tym jest świetnym strategiem, niezwykle oczytanym złodziejem kobiecych serc, intelektem dorównuje Mr. Fantasticowi (nie bez powodu po latach trafi z nim do organizacji Iluminatów, razem z Tonym Starkiem oraz Doctorem Strange'em), a siłą i umiejętnością walki Kapitanowi Ameryce. W dodatku jest (słusznie) dumny ze swojej kultury oraz kraju, a także nie przejmuje się zbytnio Ameryką i jej sprawami.

Był rok 1966, kilkadziesiąt państw afrykańskich uzyskało w przeciągu ostatnich piętnastu lat niepodległość, Malcolm X został zamordowany, od dwóch lat przez miasta USA przelewała się fala przemocy w związku z buntami zwanymi „gorącymi latami", a Stanowi Lee i Jackowi Kirby udało się za pierwszym razem stworzyć wspaniałego, czarnoskórego bohatera, w dodatku pochodzącego z Afryki.

Nie znaczy to jednak, że pierwsze historie poświęcone Black Pantherowi pozbawione były stereotypów i mitów na temat Afryki, ponieważ widać je na pierwszy rzut oka. Często zarzucano wydawnictwu to, że choć w uniwersum Marvela jest Nowy Jork i inne prawdziwe miejsca, to Black Panther zamieszkał w Wakandzie – nieistniejącym państwie afrykańskim. To jednak mało istotny szczegół, gdyż gorzej prezentowali się pierwsi przeciwnicy Panthera – walczył z wielkimi małpami, nosorożcami, a w końcu nawet dinozaurami. I choć tyle początkowo dowiedzieliśmy się o intelekcie T'Challi, jakoś niespecjalnie musiał z niego korzystać, bo kiedy akurat nie powalał na ziemię nosorożca, to jego nemesis byli Man-Ape czy Erik Killmonger – troglodyci z którymi starcie sprowadzało się do lania po pyskach. Dziwnym trafem z Afryką utożsamiono nawet voodoo poprzez postać Barona Macabre, który potrafił wskrzeszać zmarłych i praktycznie wyglądał jak wczesna wersja Brothera Voodoo (będącego... czarną wersją Doctora Strange'a). Najdziwniejszym jednak elementem wczesnych historii o Black Pantherze była „moda" panująca w Wakandzie. Choć twórcy komiksów dali im wspaniałą technologię, górowanie moralne nad większością państw, to jednak z niewiadomych względów mieszkańcy Wakandy chodzili ubrani jak „dzikusy", często z dzidami i drewnianymi tarczami w dłoniach (choć przecież posiadali lasery!), lub wykonywali dziwne rytualne tańce, przywołujące na myśl czarno-białe filmy o Afryce z pierwszych dziesięcioleci XX wieku.

Mimo wszystko ta wczesna wizja Black Panthera była zdecydowanie progresywna. Zarówno dumny T'Challa, jak i sama Wakanda (odczytywana jako symbol postkolonializmu), są prawdopodobnie najbardziej pozytywnymi wyobrażeniami Afryki, jakie pojawiły się w amerykańskiej popkulturze do czasu lipca 1966 roku i pierwszego kadru, na którym waleczny władca rozprawia się z członkami Fantastycznej Czwórki.

Black Panther „narodził" się na łamach komiksu *Fantastic Four*, później rządził w *Jungle Action*, aż wreszcie zyskał swój własny komiks. Na początku lat 70. po raz pierwszy zmierzył się z Ku Klux Klanem, odwiedzając Stany Zjednoczone, i od tego czasu na stałe zamieszkał w uniwersum Marvela. Zastępował Daredevila stając się opiekunem Hell's Kitchen (cóż za genialny pomysł na drugi sezon netflixowego *Daredevila*!), ożenił się ze Storm z X-Men, walczył przeciwko Doctorowi Doomowi, stał się członkiem Avengers (a także Fantastycznej Czwórki) i w końcu dołączył do wspomnianych wcześniej komiksowych Iluminatów, czyli najinteligentniejszych bohaterów Marvela (a nawet w uniwersum Marvel Zombies był jednym z nielicznych bohaterów, którzy – choć stracił rękę i nogę – nie zostali przemienieni w żywe trupy i w konsekwencji, po latach, wrócił na nowo odbudować Ziemię). To w pełni wyjaśnia dlaczego T'Challa dołącza do filmowego uniwersum Marvela, a ostatecznie zapewne stanie się także członkiem filmowych Avengers.

WSPOMNIENIA NIEDOSZŁEGO DAREDEVILA

Nie tak dawno zaliczyłem rozmowę na temat serialowego *Daredevila*, która oczywiście płynnie zdryfowała w stronę słabego filmu z Affleckiem. Był to dryf dość naturalny, bo ileż można gadać o czymś naprawdę dobrym w gronie ludzi z takimi samymi opiniami, gdzie słychać jedynie siorbanie piwska oraz „dokładnie!" albo „no, chciałem to właśnie powiedzieć!"? Kłótnia stymuluje, a bójki rozwijają fizycznie i zostawiają jakże męskie blizny, idealnie pasujące do brody.

NO WIĘC, POMYŚLAŁEM, POGADAJMY O STARYM *DAREDEVILU*. SPRÓBUJMY GO TROCHĘ POBRONIĆ.

I z początku jakoś tam nawet ta obrona szła, bo parę fajnych cameo (Frank Miller, Kevin Smith, wszechobecny Stan Lee), sami Daredevil i Kingpin całkiem spoko, Bullseye przeszarżowany, lecz bez tragedii. No ale wreszcie stało się, co miało się stać i na moim termopilskim stanowisku zaszły mnie dziady od tyłu, by przeszyć serce strzałą śmierci. **„Wszystko spoko, ale Elektra..."**, wybełkotał ktoś i to był argument, który mnie dobił. Bo rzeczywiście, tak jak da się wybronić w tym filmie wiele – na masę durnot, słabizn i odłamków witraża przymknąć oko – tak owej koncertowo wręcz spieprzonej Elektry żaden fan nie wybaczy. Nawet gdyby cała reszta filmu była...

Choć nie, ostatnio bowiem, gdy już wytrzeźwiałem, naszła mnie refleksja, że byłoby coś, co wyrównałoby tragicznie słabą Elektrę. Wątek Sticka. Pod warunkiem jednak, że zagrałby go...

Nie, jeszcze chwila, bo muszę tutaj coś dodać, by potem nie było nieporozumień. Nie tylko jestem zachwycony serialową kreacją Scotta Glenna, ale wręcz od zawsze uważałem, że wizualnie to artysta stworzony do zagrania tej postaci. Pasujący zdecydowanie lepiej niż aktor, którego nazwisko zaraz podam. A mimo to nie sądzę, żeby kinowego *Daredevila* mógł uratować Glenn. Temu zadaniu podołałby w mym mniemaniu jedynie... **Rutger Hauer.**

Dlaczego? Wersja krótka, ogólna i na odczep brzmi – bo dla mnie Hauer ratuje wszystko. Do wersji długiej i tej słusznej potrzebuję anegdoty.

Dawno, dawno temu, gdy postaci Daredevila jeszcze nie znałem, zobaczyłem film. No dobra, widziałem ich wiele, ale ten trafił do mnie jakimś zupełnym przypadkiem, jako trzeci na taśmie produkcji z Van Dammem i zupełnie nie wiedziałem, że tam jest, bo nie został wpisany. Ale był. Kino wojenne, jak się zapowiadało, więc zostawiłem. Dźwięk mu się z początku rozmywał, jakby ktoś grał na pile, chwila pasków i zakłóceń, chwila odbarwień, ale udało mi się zobaczyć żołnierza, który zostaje oślepiony, ale przeżywa i w wiosce uczą go jak ciąć w powietrzu rzucane w niego melony. A potem ten żołnierz wraca, jest supernindżą o superzmysłach i ratuje małego chłopca.

Tak, dobrze kojarzycie. To ***Ślepa furia***. Grał w niej właśnie Rutger Hauer. Znałem go już wtedy z mej ukochanej *Zaklętej w sokoła* i filmu, którego zupełnie wtedy nie rozumiałem, ale był taki super – czyli *Blade Runnera*.

Wiem, że to wyjątkowo słaba gra słów, ale cóż poradzę, kiedy tak właśnie było – tym filmem Hauer otworzył mi oczy na problem tego rodzaju niepełnosprawności. On oczywiście nie był niepełnosprawny, po prostu nie widział, ale, jak Daredevil – czy może bardziej jak Zatōichi, którego podówczas nie znałem w ogóle, a który stanowił dla filmu inspirację – nadrabiał owo niewidzenie na tysiąc sposobów resztą zmysłów i umiejętnościami. No i właśnie wtedy zacząłem myśleć, co by to było, gdybym ja stracił wzrok. **Czy dałbym sobie radę?** Czy miałbym cierpliwość, by – jak Hauer – medytować, nasłuchiwać, rozszczepiać dźwięki? Czy byłbym w stanie reagować na ruchy powietrza oraz wiedzieć co oznaczają, kogo i z jakimi zamiarami? Oczywiście próbowałem. Zazwyczaj z miernym skutkiem – z masą guzów po tym, jak wpadałem na słupy i mnóstwem ochrzanów, gdy wlazłem na kogoś lub prawie na drogę. Tak, o mało co nie zginąłem.

Daredevila, tego komiksowego, poznałem dopiero potem, w ***Mega Marvelu,*** gdzie przedstawiono jego genezę. I do dziś pamiętam, że gdy do smutnego, zapłakanego po stracie ojca dzieciaka przyszedł tajemniczy mężczyzna w czapce, to ja w pierwszej chwili zobaczyłem właśnie Rutgera Hauera. Nicka Parkera, który wrócił pod pseudonimem Stick, by kolejnemu dzieciakowi wyjaśnić czym jest utrata wzroku. Matt Murdock okazał się pojętniejszym uczniem niż ja, więc został Daredevilem. Niech mu będzie, w końcu on naprawdę był niewidomym, a nie tylko chłopcem z opaską – spod której i tak podglądałem. Ale w mym wyobrażeniu Rutger Hauer na zawsze pozostał Stickiem. I gdyby jako ta postać pojawił się w filmie z Affleckiem, przebolałbym nawet słabą Elektrę. Ale się nie pojawił... Więc następnym razem niech kto inny broni sobie filmu, a ja – na trzeźwo i po raz trzeci –

IDĘ OBEJRZEĆ SERIAL.

BO RZĄDZI.

IDŹ DO PIEKŁA, LALKO WŚCIEKŁA!

tekst: **RADOSŁAW PISULA**

Uwielbiam oglądać grozę na ekranie. **Michael Myers bawi, Freddy Krueger uczy, a Jason Voorhees to wielki zgrywus, który potrafi rozerwać każdego.** Jednak w dzieciństwie unikałem horrorów. Ba! Pewne rzeczy były dla mnie niesamowicie przerażające. Co ciekawe, prawdziwy strach wyciągał po mnie swoje pazurzaste łapska z produkcji, którą dzisiaj przypominam sobie jedynie dla relaksu. W połowie lat 90. pewna konkretna rzecz sprawiła, że przez dobre kilka lat unikałem jakiegokolwiek kontaktu z kinowymi koszmarami.

NAJWIĘKSZA TRAUMA DZIECIŃSTWA UDERZYŁA WE MNIE NAGLE, NIE DAJĄC ŻADNEJ SZANSY NA OBRONĘ. Był to chyba 1995 rok. Jako szczęśliwy dzieciak wpadłem do domu z nowym numerem *Supermana*, wydanego przez nieodżałowane TM-Semic. Nic nie zapowiadało nadchodzącego horroru. Szybki obiad, gra w piłkę, otarte kolana, trochę krwi (na której widok dostawałem wtedy ataku paniki i palpitacji serca) oraz wieczorna wycieczka do wypożyczalni kaset (w piątek oznaczało to, że upolowane okazy można było oglądać jakieś trzysta dwadzieścia siedem razy podczas weekendu, oczywiście najpierw organizując konklawe, mające wyłonić rezydenta odtwarzacza – zazwyczaj miejsce to zajmowały: *Transformers: The Movie*, *Wojownicze żółwie ninja*, *Karate Kid* lub *Akademia policyjna*). Dzień jak co dzień dla polskiego smarkacza.

Zmęczony siadłem wieczorem przy telewizorze, by spędzić przy nim jak najwięcej czasu. Skacząc po kanałach natrafiłem na pozycję o zachęcającym tytule: *Laleczka Chucky*. W założeniu nie mogło to być niczym nieodpowiednim dla młodego umysłu. Kto mógłby zrobić film o lalce, który nie jest przeznaczony dla dzieci? Produkcja rozpoczęła się ucieczką kogoś przed policją. O! Jeśli jest pościg i strzelanina, to widowisko musi być poważne, ale jak to się ma do szmacianki z tytułu? Gdzie ten cały Chucky? W połowie akcji rozgrywającej się na terenie sklepu z zabawkami, rodzicielka zawołała mnie do odrabiania lekcji. Trudno, straciłem sporą część filmu, ale na szczęście mogłem kontynuować seans.

Wróciłem do niego podczas sekwencji, w której jakaś kobieta potrząsała szpetną, rudą lalką, wrzeszcząc, żeby ta zaczęła mówić i groziła wrzuceniem jej do kominka. Muzyka uderzyła w ponure tony. Nie wiedziałem, co się dzieje, gdy nagle nadszedł moment, który sprawił, że pierwszy raz w życiu poczułem prawdziwą grozę. Lalka zaczęła się poruszać i rzucać wyzwiskami w stronę jasnowłosej bohaterki (**„Ty głupia suko! Ty pieprzona dziwko! Ja cię nauczę rozumu!" – klasyczny Chuck**), a zaraz po tym ją ugryzła! Ja, blady jak ściana, wołam mamę, żeby wytłumaczyła mi tę sytuację. Jak zabawka może rzucić się na człowieka? Moja rodzicielka, jak zawsze przygotowana, niczym wyrocznia, wypowiedziała słowa, których nigdy nie powinno mó-

wić się do dziecka w stanie przedzawałowym: „Nie bój się, to tylko film". Oj, nie. **To był prawdziwy horror.** Widziałem w tej chwili lalkę, która zabija, klnie i jest praktycznie niezniszczalna. Pamiętam, jak po dobrych kilku latach pojawił się w moim domu najważniejszy wynalazek od czasu rozniecenia ognia – **Internet**. Wklepałem wtedy hasło, będące dla mnie synonimem ucieleśnionego terroru: „*Laleczka Chucky*". Po chwili (w czasach prehistorycznych oznaczało to zazwyczaj pół godziny) zobaczyłem kadr z rudym gałganem, dzierżącym w małej łapie kuchenny nóż. Moje nogi znów nabrały konsystencji waty. Nie spodziewałem się nawet, jak bardzo ewoluowała moja „mała" trauma.

UWOLNIŁEM SIĘ OD STRACHU DOPIERO W GIMNAZJUM. I TO DOSYĆ PRZYPADKOWO. Podczas Sylwestra, grubo po północy, gdy wszyscy siedzieli już zmęczeni, okazało się, że Polsat postanowił uczcić Nowy Rok spotkaniem z **Charlesem Lee Rayem**. Zacząłem całość oglądać bez świadomości KTO właśnie opanował mój odbiornik i o dziwo cały strach gdzieś się rozmył. Spotkanie z małym mordercą w ogrodniczkach stało się nagle angażującą przygodą, a on sam cholernie zabawnym cynikiem.

Od tego momentu zacząłem nałogowo nadrabiać filmy grozy, które tak umiejętnie

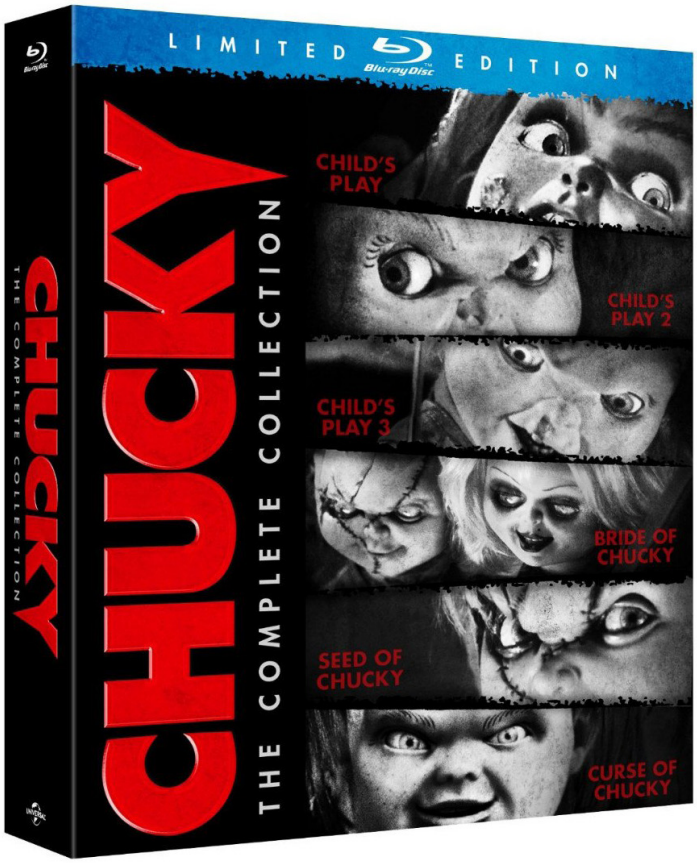

▪ „Kompletność" powyższej kolekcji BD psuje zapowiedź siódmego filmu z serii.

przez lata omijałem. Zakochałem się w **klasycznych monstrach z Universalu**, milionach kuriozalnych obrazów **Rogera Cormana**, urzekł mnie wytworny **Vincent Price**, krwawy **Christopher Lee** i stoicki **Peter Cushing** z ery studia Hammer, horrory buntowników Nowego Hollywood, seria o **Obcym**, naiwne slashery, różne dekonstrukcje gatunku z lat 90., a nawet niektóre z obrzydliwych torture porn oraz produkcji nowej francuskiej ekstremy. **Napisałem nawet pracę dyplomową o grozie w kinie Johna Carpentera i ta płomienna miłość do celuloidowego strachu nadal trwa.**

Jednak, w konsekwencji tego wszystkiego, całkowicie przestałem bać się gatunku. Mogę go analizować, rozkładać na czynniki pierwsze, komentować ze znajomymi i dobrze bawić się na kolejnych filmach, jednak nie czuję już strachu. Dlatego bardzo dziękuję mojej rodzicielce, że popsuła mi jeden ze słonecznych dni kilkanaście lat temu seansem **kuriozalnego slashera**, który stał się dla mnie symbolem kinowej grozy. Do dzisiaj, gdy wspominam tamten dzień, potrafię poczuć na skórze dreszcz i bardzo brakuje mi tego spojrzenia na grozę oczami dziecka. Co się tak naprawdę zmieniło? Kino stało się krwawe do przesady? Ja zdziadziałem? Przemoc spowszedniała? Ogrom komentarzy w sieci tłumi emocje, jakie wiązały się z osobistym przeżywaniem horrorów, które były dla nas kiedyś zdecydowanie czymś więcej, niż tylko filmami? Nie jestem pewien, wiem jednak, że **T-1000** (o kamiennej twarzy **Roberta Patricka**) zawsze będzie dla mnie największym zagrożeniem, ożywający gargulec z *Pogromców duchów* przeraża bardziej niż wszystkie pomysły Jamesa Wana razem wzięte, czołówka *Z Archiwum X* (powracającego niedługo na ekrany!) nie pozwalała mi zasnąć, *Opowieści z krypty* (z ironicznym **Strażnikiem i Orgią krwi**) niszczyły niewinność, a harpie oraz szkielety z *Jazona i Argonautów* autorstwa **Raya Harryhausena,** to najrealniejsze potwory powołane do życia na ekranie – które powstały w czasach, gdy CGI brzmiało jeszcze jak nazwa choroby wenerycznej.

DZIĘKUJĘ DZIECIŃSTWU ZA ZASZCZEPIENIE WE MNIE STRACHU.

Mam nadzieję, że nowe generacje kinomaniaków – **w natłoku tandety i hektolitrów krwi** – też znajdą swoje demony i laleczki Chucky...

WALTER SIMONSON

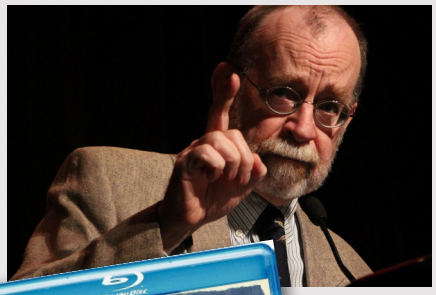

Rysownik, scenarzysta, prawdziwy człowiek renesansu – podczas swojej długiej i niezwykle owocnej kariery w Marvelu, DC oraz w innych ciekawych miejscach, wydał na świat wiele niesamowicie ważnych historii, a w jego portfolio znajduje się multum pereł. Najbardziej znana jest jednak jego długa i niezwykła przygoda z Thorem, którego serię w latach 80. zamienił w prawdziwie mitologiczną odyseję – niezwykle inteligentną, przemyślaną oraz wspaniale zilustrowaną.

PIERWSZY FILM, KTÓRY CIĘ PRZERAZIŁ?

Latające talerze/ *The Werewolf* (1956) – podwójny seans.

UKOCHANA ZABAWKA Z DZIECIŃSTWA?

Elektryczne pociągi firmy Lionel.

WSTYDLIWY VHS/DVD/BLU-RAY NA PÓŁCE?

Return to Treasure Island (1954) z Tabem Hunterem i Dawn Addams (jestem jej fanem).

Z JAKĄ POSTACIĄ KOMIKSOWĄ POZWOLIŁBYŚ UMAWIAĆ SIĘ SWOJEJ CÓRCE?

Steve Rogers albo Clark Kent.

IDEALNY FILM NA POPRAWĘ HUMORU?

Szarada z Audrey Hepburn i Carym Grantem.

KSIĄŻKA, DO KTÓREJ NAJCZĘŚCIEJ WRACASZ?

Gorący pieniądz Dicka Francisa, ale mógłbym tu pewnie dać z tuzin pozycji – wliczając w to trylogię *Władcy pierścieni*.

JAKI FILM DOPROWADZIŁ CIĘ DO ŁEZ?

Stalowy gigant.

JAKĄ PIOSENKĘ SŁYSZYSZ TERAZ W GŁOWIE?

L*ove is Just a Four Letter Word* Boba Dylana

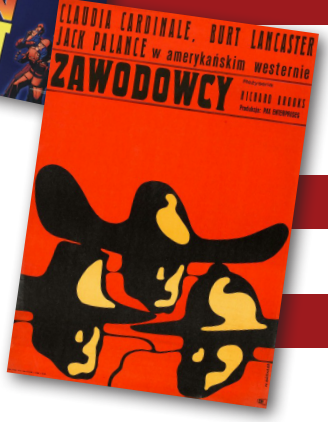

FILM, KTÓRY MÓGŁBYŚ OGLĄDAĆ AŻ WYPŁYNĄ CI OCZY?

Zawodowcy z Lee Marvinem i Burtem Lancasterem.

JAKA FIKCYJNA POSTAĆ POWINNA ZAPUŚCIĆ BRODĘ?

Już to przerabiałem – Thor.

ULUBIONY KOMIKS BEZ SUPERBOHATERÓW?

Usagi Yojimbo.

OLIVIER JOUVRAY

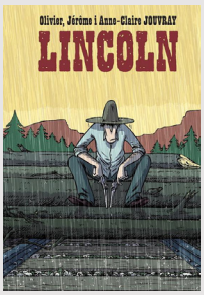

Jeśli będziecie kiedyś potrzebowli akademickiego dokształcenia z tworzenia komiksów, to śmiało możecie udać się do Francji, gdzie Olivier – wraz z bratem Jeromem – uczy komiksowego kung-fu. Poza akademickimi murami to także posiadacz fantastycznej brody, bardzo szybki spacerowicz i – jak widać po udzielonych nam odpowiedziach - człowiek pełen humoru oraz dobrego gustu. Powinniście też znać napisaną przez niego przezabawną serię komiksową *Lincoln*, którą na polski rynek wprowadziło wydawnictwo Mroja Press. Jeszcze jej nie znacie? To na co czekacie?

zdjęcie: Kuba Ryszkiewicz

PIERWSZY FILM, KTÓRY CIĘ PRZERAZIŁ?

Lśnienie Kubricka! Cały seans chowałem się za kanapą (ale byłem mały!).

UKOCHANA ZABAWKA Z DZIECIŃSTWA?

Elektryczny tor samochodowy.

WSTYDLIWY VHS/DVD/BLU-RAY NA PÓŁCE?

Nie mam wielu DVD i płyt Blu-ray. Posiadam ich za mało, żeby trafił się jakiś wstydliwy. A to dlatego, że nienawidzę rzeczy zrobionych z tego paskudnego plastiku. Są zbyt łamliwe, zupełnie nieporęczne. Nie cierpię ich.

Z JAKĄ POSTACIĄ KOMIKSOWĄ POZWOLIŁBYŚ UMAWIAĆ SIĘ SWOJEJ CÓRCE?

Oczywiście Doktor i jego magiczna niebieska budka!

IDEALNY FILM NA POPRAWĘ HUMORU?

Filmy Wesa Andersona! Szczególnie *Fantastyczny Pan Lis*, *Moonrise Kingdom* i *Grand Budapest Hotel.*

KSIĄŻKA, DO KTÓREJ NAJCZĘŚCIEJ WRACASZ?

Żadną! Mam za mało czasu, żeby czytać jakąś książkę więcej niż jeden raz. Wolę nieustannie poznawać coś nowego.

JAKI FILM DOPROWADZIŁ CIĘ DO ŁEZ?

Sporo. Wypłakałem ocean łez przez *Grobowiec świetlików* Isao Takahaty.

JAKĄ PIOSENKĘ SŁYSZYSZ TERAZ W GŁOWIE?

Go With the Flow - Olivier Libaux (feat. Emiliana Torrini). Z albumu *Uncovered Queens of the Stone Age.*

FILM, KTÓRY MÓGŁBYŚ OGLĄDAĆ AŻ WYPŁYNĄ CI OCZY?

Podobnie jak z książkami – wolę odkrywać nowe filmy niż oglądać te, które już znam. Myślę jednak, żemógłbym wielokrotnie oglądać francuski film *OSS 117 - Kair, gniazdo szpiegów* i nieustannie dobrze się bawić.

JAKA FIKCYJNA POSTAĆ POWINNA ZAPUŚCIĆ BRODĘ?

Blueberry!

WYMARZONA PRACA?

Już ją mam! Jestem wielkim szczęściarzem!

NAJLEPSZE KAWAŁKI DAREDEVILA

tekst **RADOSŁAW PISULA**

Daredevil, niewidomy obrońca Hell's Kitchen, za sprawą platformy Netflix dostał kolejną szansę zaistnienia w filmie pełnometrażowym (formuła całego projektu wychodzi poza ramy typowego serialu). Twarz Murdocka na przestrzeni trzynastu odcinków przywitała się z butem chyba każdego zbira z dzielnicy, ale ostatecznie udało mu się trochę posprzątać okolicę i szturmem zdobyć serca widzów na całym świecie. Dodatkowo skrupulatnie budowana historia nie odcinała się od swoich korzeni, a scenarzyści pełnymi garściami czerpali z przebogatego materiału źródłowego. Nic dziwnego – specyfika postaci Daredevila od lat przyciąga do siebie najlepszych scenarzystów z branży i to właśnie pozbawiony strachu Murdock może się pochwalić chyba najbardziej stabilną egzystencją na komiksowych kartach. Z tego powodu zapraszam na krótką podróż po najlepszych historiach z tym zamaskowanym awanturnikiem – mam nadzieję, że każdy znajdzie tutaj coś dla siebie i rzuci się w nieokiełznany wir życia piekielnej dzielnicy.

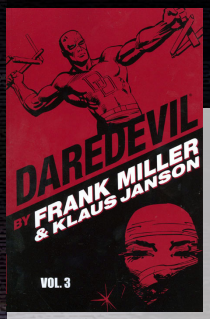

DAREDEVIL VOL. 1 #158-191

Scenariusz **FRANK MILLER, ROGER MCKENZIE**
Rysunki **FRANK MILLER, KLAUS JANSON**

Frank Miller był jednym z ojców komiksowej rewolucji lat 80. Początek długiego runu to głównie rysunki Millera i scenariusze Rogera McKenziego, ale niezwykle szybko dostajemy pełnię błyskotliwego Franka, który zatapia Murdocka w klimacie czarnych kryminałów (w warstwie narracyjnej oraz wizualnej), robi z Bullseye'a mordercę doskonałego i wprowadza na kolorowe karty zjawiskową Elektrę, która zmieniła sposób postrzegania postaci kobiecych z głównego nurtu. To nadal wielkie, wypełnione fatalizmem opowieści, do których przesycono jednak odpowiednią dawkę błyskotliwego humoru.

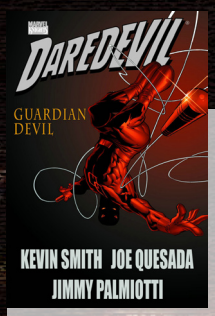

DIABEŁ STRÓŻ

Scenariusz **KEVIN SMITH**
Rysunki **JOE QUESADA**

Pod koniec lat 90. Marvel chylił się ku upadkowi, a jedną z decyzji, która uratowała giganta, było zatrudnienie do pisania zrestartowanych przygód Murdocka niepokornego reżysera - Kevina Smitha. Sprowadził on diabelską konwencję do podstaw – osią fabuły uczynił wątki religijne i związaną z nimi martyrologię, zatapiając to wszystko w żywych rysunkach nowego naczelnego Marvela, Joego Quesady. Zuchwałe operowanie narracją, zespoloną z naturalnymi dialogami, dało wydawnictwu natychmiastowy hit, który nadal czyta się całkiem nieźle.

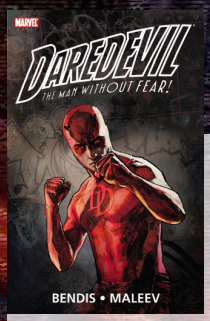

DAREDEVIL VOL. 2 #16-19, 26-50, 56-81

Scenariusz **BRIAN M. BENDIS**
Rysunki **ALEX MALEEV, DAVID MACK**

Zdecydowanie jedna z najbardziej monumentalnych opowieści w historii wydawnictwa. Zakrojona na kilka lat epopeja wciąga Matta w coraz to większe bagno, a Bendis wydaje się czerpać sadystyczną przyjemność z niszczenia kolejnych „świętości" niewidomego śmiałka – jego dzielnicy, wiary, życia miłosnego, przyjaźni, czy w końcu tajnej tożsamości i związanej z nią kojącej prywatności. Scenarzysta w fantastyczny sposób połączył kruczoczarny kryminał czasów Millera ze swoimi bezceremonialnymi i niezwykle chwytliwymi dialogami, udowadniając, że komiks to często literatura najwyższych lotów. W duecie z finezyjnym Alexem Maleevem wyczarował na papierze superbohaterski komiks totalny, od którego śmiało możecie zacząć przygodę z Daredevilem.

DAREDEVIL VOL. 2 #82–119, VOL. 1 #500

Scenariusz **ED BRUBAKER**
Rysunki **MICHAEL LARK**

Ed Brubaker sprawił, że Kapitan Ameryka znowu zaczął się liczyć (a jeszcze wcześniej nakreślił świetne przygody Batmana i odświeżył postać Catwoman), więc był idealną osobą do przejęciu sterów po Bendisie – szczególnie że scenarzysta z wypolerowaną łysiną zostawił Matta w sytuacji pozornie bez wyjścia. Brubaker miał niezwykle dobre otwarcie, uchodzące do dzisiaj za jedną z najlepszych opowieści z Murdockiem (*The Devil in Cell-Block D*), a później – już do końca podróży – cały czas trzymał porażająco wysoki poziom. Przywrócił chwałę postaci Kingpina, wprowadził żeńską wersje Bullseye'a i jeszcze mocniej zacieśnił związki szkarłatnego wojownika z organizacją Hand. Przyspieszył trochę wygadane bendisowskie noir, zamieniając serię w nieustannie trzymający w napięciu thriller i zgotował czytelnikom kolejną wielką przygodę.

DAREDEVIL VOL. 3 I VOL 4

Scenariusz **MARK WAID**
Rysunki **CHRIS SAMNEE, PAOLO RIVERA, MARCOS MARTIN**

Po latach ciągłego znęcania się nad Murdockiem w końcu przyszedł moment przesytu (przypadający na nieudane oraz wymuszone *Shadowland* Andy'ego Diggle'a) i trzeba było zmienić formułę serii. Na stołku scenarzysty zasiadł wieloletni wirtuoz kreowania weselszych superbohaterskich fabuł, Mark Waid (m.in. *Flash, Captain America, Fantastic Four*), wprowadzający do zatopionego w mroku świata ogromne pokłady kolorytu i szalonej przygody, którymi seria emanowała w czasach Srebrnej Ery. Murdock na nowo odzyskał chęć życia i z uśmiechem na ustach rzucił się w wir absurdalnych (ale często też naprawdę przerażających) opowieści. Sam pomysł był ryzykowny, jednak w połączeniu ze wspaniałymi rysunkami (Paolo Rivera, Marcos Martín, Chris Samnee) dał piorunujący efekt, który możemy obserwować do dzisiaj.

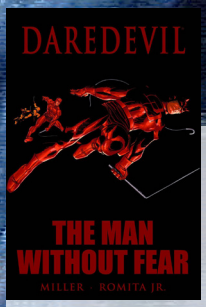

THE MAN WITHOUT FEAR

Scenariusz FRANK MILLER
Rysunki JOHN ROMITA JR

Osobiście to mój ulubiony komiks, w którym zadurzyłem się jeszcze w czasach TM-Semic. Perfekcyjny przykład genezy superbohatera – udowadniający, że wciśnięcie go w kostium to tak naprawdę dopiero ostatni etap skomplikowanej przemiany. Nowy Jork ożywa na kartach historii Millera, będąc integralnym bohaterem opowieści, a każda kropla deszczu uderzająca o chodnik wydaje się stanowić oddzielną narrację. Elementy definiujące bohatera – kompleks ojca, prawo kontra sprawiedliwość, fatalistyczna miłość, przyjaźń z Foggym, niezwykłe zmysły – zostają zmiksowane w znakomitym koktajlu, którym czytelnik powoli się delektuje. Spowiedź Daredevila zamknięta w jednym tomie, gdzie na wyżyny swojego talentu wspina się kontrowersyjny John Romita Jr.

ODRODZONY

Scenariusz FRANK MILLER
Rysunki DAVID MAZZUCCELLI

W 1986 roku Miller postanowił domknąć swój klasyczny run w *Daredevilu* i zaaplikował czytelnikom diabelnie zaskakujące podsumowanie konfliktu Murdocka z Fiskiem – Kingpin poznaje tożsamość swojego największego wroga, a scenarzysta kondensuje na łamach kilku numerów pełnię cierpiętniczych motywów kojarzonych z rogatym bohaterem, serwując mu prawdziwe piekło na ziemi. Najciekawiej robi się jednak w momencie, gdy doszczętnie zniszczony bohater staje się prawdziwym „Człowiekiem bez strachu", a jego odpowiedź jest kwintesencją niezłomnego superbohaterstwa. Druga część opowieści odstaje dosyć wyraźnie od fenomenalnej części pierwszej i jest spisywanym przez Millera, na gorąco, politycznym komentarzem wymierzonym w Amerykę czasów Reagana (pasującym bardziej do miesięcznika Kapitana Ameryki), ale całość nadal pozostaje niesamowicie solidną historią.

DAREDEVIL REDEMPTION

Scenariusz DAVID HINE
Rysunki MICHAEL GAYDOS

David Hine skrupulatnie pozbierał materiały związane z funkcjonowaniem amerykańskiego systemu sprawiedliwości i wysłał Murdocka na brutalne jankeskie południe, gdzie najbardziej znany prawnik Marvela musi rozwiązać sprawę śmierci małego dziecka z którą powiązana jest grupka nieletnich (domniemanych) satanistów. Miniseria przesycona jest dusznym powietrzem spalonej słońcem Alabamy, a rysunki Michaela Gaydosa (*Alias*) podkreślają ten iście apokaliptyczny krajobraz. Miasto pełne tajemnic i bigoterii to idealne pole do działania dla sprawiedliwego stróża prawa, a cała opowieść stanowi jedno z najciekawszych spojrzeń na Matta Murdocka oraz jego metody pracy – przy okazji pozostając uniwersalnym kryminałem, który mógłby całkowicie obejść się bez trykotu i nic na tym nie stracić.

ŻÓŁTY

Scenariusz JEPH LOEB
Rysunki TIM SALE

Jeph Loeb od dawna nie napisał dobrego komiksu, ale jego klasyczne Batmany i kolorowa seria dla Marvela – stworzone wspólnie z rysownikiem Timem Sale'em – to wyżyny mitologizowania postaci w rajtuzach. W wydanym niedawno w Polsce (Mucha Comics) *Żółtym*, scenarzysta poddaje wiwisekcji początki działalności Daredevila – zestawiając go z Owlem czy Stilt-Manem – ale osią opowieści jest wieloletnie uczucie do Karen, prezentowane za pomocą listów pisanych do kobiety już po jej śmierci. Loeb uromantycznia przygody Murdocka, uwypukla elementy stanowiące o jego unikalności i poprzez emocjonujące pożegnanie pozwala nam wrócić, choć na chwilę, do prostszych czasów rodzącego się superbohaterstwa, gdzie słońce zawsze świeciło jaśniej. Cały album jest jednak tak naprawdę popisem Sale'a, który każdą sekwencję sadza na komiksowym tronie i czaruje zawadiackim uśmiechem heroicznego prawnika.

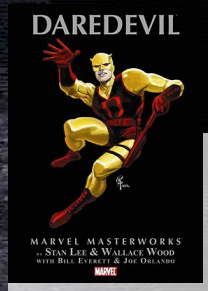

MARVEL MASTERWORKS DAREDEVIL VOL. 1

Scenariusz STAN LEE
Rysunki WALLACE WOOD, BILL EVERETT, JOE ORLANDO

To właśnie komiksy z Murdockiem są prawdopodobnie moimi ulubionymi ze Srebrnej Ery komiksu – obok *Fantastic Four* – ponieważ Daredevil od zawsze był najbardziej ludzkim herosem Marvela (nawet bardziej niż Spider-Man, który mimo młodzieżowych kłopotów miał fantastyczne moce). Idealnym ukoronowaniem tego motywu jest starcie z Namorem (#7), gdzie bliski śmierci bohater znajduje w sobie siłę, żeby stawić czoła niezniszczalnemu władcy Atlantydy. Nic dziwnego, że nieustraszony wojownik powróci do podobnej konwencji w czasach współczesnych, ponieważ dobre pomysły zawsze wytrzymują próbę czasu. *Daredevil* nie byłby kompletny bez Stana Lee, Billa Everetta, Joego Orlando, Wally'ego Wooda i musztardowo-szkarłatnego kostiumu.

BARBARIAN
BEANS

JESTEM STOSUNKOWO MIŁY I NIEGROŹNY W STARCIU BEZPOŚREDNIM

MARCIN ŁUCZAK rozmawia z **ŁUKASZEM KOWALCZUKIEM** – rysownikiem i scenarzystą komiksowym, miłośnikiem pulpy, autorem książki o wydawnictwie TM-Semic, laureatem Złotych Kurczaków 2014 w kategorii "Najlepszy scenarzysta" oraz "Komiks roku", a także twórcą komiksu

VRECKLESS VRESTLERS.

Publikowany zinowo komiks doczeka się niebawem albumu zbiorczego wydanego nakładem **KULTURY GNIEWU**.

BRODY: DLACZEGO TY TAK "NIENAWIDZISZ" LUDZI?

ŁUKASZ: Dobrze zacząłeś, następne pytanie.

B: TAK ŁATWO SIĘ NIE WYWINIESZ OD ODPOWIEDZI. PAMIĘTAM, ŻE ZACZYNAŁEŚ OD TAK ZATYTUŁOWANEGO ZINA, KOSZTUJĄCEGO PIĘĆ ZŁOTYCH (DLA STUDENTÓW DZIESIĘĆ), A TERAZ MASZ FANPAGE NIENAWIDZĘ LUDZI ZE "ŚMIESZNYMI OBRAZKAMI KOMENTUJĄCYMI RZECZYWISTOŚĆ", KTÓRY LUBI PONAD JEDENAŚCIE TYSIĘCY OSÓB. COŚ CIĘ DO TEGO STWIERDZENIA EWIDENTNIE CIĄGNIE.

To dobrze brzmiące hasło. Towarzyszy mi od kiedy usłyszałem *I Hate People* Anti-Nowhere League – nawet taką koszulinę nosiłem. Gatunek ludzki, tak w ogóle, nie wzbudza we mnie sympatii. Mimo tego jestem stosunkowo miły i niegroźny w starciu bezpośrednim. Więc nie traktowałbym tego dosłownie.

Gorzej jeśli ktoś oficjalnie miłuje bliźnich i niby nie jest żadnym -istą, ale „tych czarnych to do kontenerów, a żydków Hitler za mało spalił".

B: WIDAĆ TO W RYSUNKACH WRZUCANYCH NA NL. CZĘSTO WYŚMIEWASZ OBŁUDĘ I LUDZKĄ GŁUPOTĘ. NIE UNIKASZ RÓWNIEŻ KOMENTOWANIA AKTUALNYCH WYDARZEŃ, CZĘSTO TYCH POLITYCZNYCH.

Rysunkowe komentarze, w większości przypadków tworzone w kilka minut, zaczęły się pojawiać jeszcze kiedy istniał SmallPress.pl. Takie impulsywne rysowanie pomaga mi odreagować (narysuję co myślę i staram się nie brnąć w dyskusje, w których i tak każdy wie lepiej).

Jest to też dobre dla internetowych statystyk. Częstotliwość wrzucania spadła. Rzeczywistość sama w sobie coraz bardziej przypomina zmyślone niusy, a popularność rzeczy robionych na szybko w bardzo nikłym stopniu przekłada się na cokolwiek poza polubieniami.

B: WŁAŚNIE, SMALLPRESS.PL - TWOJA MAŁA INICJATYWA WYDAWNICZA. JAK TO SIĘ STAŁO, ŻE TWÓRCA UNDERGROUNDOWY, SPECJALIZUJĄCY SIĘ W WYDAWANIU ZINÓW, ZDECYDOWAŁ SIĘ NA ZAŁOŻENIE WYDAWNICTWA I WYDAWANIE KOMIKSÓW INNYCH OSÓB?

Ponieważ nie zapowiadało się wówczas, że ktoś będzie wydawał moich rówieśników z okolicy (a konkretnie z Gdańska), więc postanowiłem pomóc. Ponieważ ISBN = mniejszy podatek na fakturze za druk, koszty były do przyjęcia. Udało się wystartować, komiksy wyszły fajne, ja popełniłem kilka ogólnych błędów i trzeba było się zawijać.

B: ŻAŁUJESZ, ŻE SIĘ NIE UDAŁO?

Nie żałuję, bo to mi dało nauczkę i teraz powtarzam do znudzenia: nie można robić wszystkiego. Być wydawcą, recenzentem, twórcą swoich komiksów w całości, scenariuszy dla innych, prowadzić *Szlamu*, pomagać przy organizacji innych rzeczy. Nie nauczyło mnie to dużo, bo nadal biorę się za zbyt wiele tematów na raz, przez co niektóre projekty są nieprzyzwoicie opóźniane. Niestety, nie tylko moje.

B: PRÓBOWAŁEŚ TEŻ POBAWIĆ SIĘ W CROWDFUNDING I SFINANSOWAĆ W TEN SPOSÓB WYDANIE ZBIORCZE TRZECH WEBKOMIKSÓW DO KTÓRYCH PISAŁEŚ SCENARIUSZ? PATRZĄC NA TO JAK TO WYGLĄDA DZISIAJ, TRUDNO NIE ODNIEŚĆ WRAŻENIA, ŻE WTEDY JESZCZE BYŁO ZA WCZEŚNIE NA TĘ FORMĘ ZBIERANIA FUNDUSZY.

Czy za wcześnie? Nie sądzę, choć można odnieść wrażenie, że u nas jest na wszystko za wcześnie. Na crowdfunding, na cyfrowe komiksy, na komiks w galeriach i na aukcjach. Ale to akurat wina całego komiksowa i temat na inną rozmowę.

Możliwe, że wybrałem zły serwis (myślę, że wspieram.to byłoby bardziej pomocne od wspieram kulturę). Za mało pisałem (a raczej spamowałem) na temat zbiórki, wychodząc z założenia, że „skoro to jest dobre, to ludzie się powinni dołożyć i na chuj drążyć temat".
Wsparcie na pewnym etapie było tak niewielkie, że się zniechęciłem i zająłem innymi sprawami. Może wykazałbym się większą determinacją gdyby był to mój jedyny komiksowy projekt? Trudno powiedzieć.

Dochodzi jeszcze kwestia o której teraz mogę napisać - nie wiem, czy jednego z komiksów nie kończyłbym sam pod presją crowdfundingowych terminów, ponieważ rysownik *Buldożków* rzadko oddawał kolejne odcinki. Koniec historii jest taki, że *Ultra Minion* ukaże się drukiem w czwartym *Profanum*, a *Rotmistrz Polonia* być może gdzieś indziej. *Buldożki* „wydoroślały" i zdążyłem już wydać zeszyt *Violent Skate Bulldogs*.

Życzę wszystkim tak finansowanym komiksom powodzenia, a niektóre wspieram. To jest dobry sposób na wydanie, ale boję się, że dojdzie do sytuacji w której ludzie zapomną o tym, iż można po prostu pójść do pracy, oszczędzić zarobione pieniądze i wydać za to komiks. Tak po prostu. Sprawdzone kilkanaście razy - działa.

B: PRZEZ PEWIEN CZAS PROWADZIŁEŚ SERWIS *TAK ZŁE ŻE AŻ DOBRE* (PRZEMIANOWANY PÓŹNIEJ NA *SZLAM.NET*), KTÓRY SKUPIAŁ SIĘ NA SZEROKO POJMOWANEJ PULPIE. SKĄD ZAINTERESOWANIE AKURAT TAKĄ TEMATYKĄ?

Ja po prostu lubię taką tematykę, inspiruję się nią i często szukam materiałów do swoich projektów. Do tego dochodzi nostalgia.

B: WIEM TEŻ, ŻE SERWIS MIAŁ SWOICH WIERNYCH CZYTELNIKÓW, ALE CZY BYŁO ICH ZBYT MAŁO, BY KONTYNUOWAĆ TEN PROJEKT, CZY MOŻE PO PROSTU STAŁ ON SIĘ OFIARĄ TWOJEGO MNOŻENIA REALIZOWANYCH PROJEKTÓW PONAD MOŻLIWOŚCI?

Padł ofiarą wszystkiego po trochu. Ale zazwyczaj najpierw jest zainteresowanie mniejsze od zakładanego. Od razu zaznaczę, że nie spodziewałem się klikalności Dema, tylko kilkuset stałych czytelników (nie wiem - to dużo? mało?). Dużo dobrego oraz unikalnego w naszych warunkach materiału przygotowanego przez kilku fachowców nie wystarczyło i w tej sytuacji zacząłem poświęcać czas na kolejne rzeczy, na przykład na *Vrestlerów*.

B: PAMIĘTAM JAK ZA DZIECIAKA ODPALAŁEM TELEWIZOR, PO CZYM PRZEŁĄCZAŁEM GO NA KANAŁY Z "SATELITY", GDZIE OGLĄDAŁEM WIELKIEGO HULKA HOGANA OKŁADAJĄCEGO PRZECIWNIKÓW I RÓWNIE CZĘSTO ZBIERAJĄCEGO OD NICH SROGIE GONGI. LECIAŁO TO WTEDY CHYBA NA SKY ONE. TO BYŁO MOJE PIERWSZE SKOJARZENIE PRZY *VRECKLES VRESTLERS*. ROZUMIEM, ŻE SŁUSZNE?

Tak, słuszne, bo jesteśmy w podobnym wieku. Sky One emitowało show WWF (a oprócz tego jeszcze Żółwie Ninja oraz mnóstwo fajnych reklam zabawek). Ktoś zwietrzył interes, bo w tym samym czasie (byłem w IV klasie, więc to lata 1993-1994) można

było kupić gumę balonową WWF z nalepkami. Zdaje się, że na niemieckim DSF leciało WCW, które na jakiś czas pobiło WWF pod względem oglądalności, by po kryzysie zostać wykupionym przez konkurencję.

B: DUŻY RESEARCH MUSIAŁEŚ WYKONAĆ PODCZAS TWORZENIA TEGO KOMIKSU?

Pewnie nie musiałem, ale bardzo chciałem. Z researchem w przypadku tego typu komiksów jest tak, że on wcale nie musi być mniejszy od robionego na potrzeby realistycznych, dokumentalnych historii.

Jeśli autor się jara danym tematem – a ja się zajarałem – to łączy przyjemne z pożytecznym. Ogląda sobie filmy, czyta komiksy, gra w gry. A potem może powiedzieć, że to wszystko była ciężka praca nad nowym komiksem. Bardzo uzupełniłem wiedzę o wrestlingu, aczkolwiek na pewno wiele mi brakuje do ekspertów.

B: *VRECKLES VRESTLERS* JEST TYTUŁEM W KTÓRY WŁOŻYŁEŚ CHYBA NAJWIĘCEJ ENERGII I CZASU. KAŻDY NUMER MIAŁ JAKIŚ DODATEK – A TO NAKLEJKI, A TO PRZYPINKI ITP. A TERAZ JESZCZE ROBISZ SAMODZIELNIE FIGURKI POSTACI Z KOMIKSU. TO TAKIE KLASYCZNE DIY, TYLE ŻE PODNIESIONE DO POTĘGI N-TEJ.

Wczoraj wysłałem ostatnie pliki do francuskiego wydawcy, polskie zbiorcze jest świeżo złożone. Na dodatek pojawiają się takie akcje jak możliwość wydania *VV* w formie zinowo-zeszytowej w Chile. Z nowymi dodatkami.

Praca przy samym komiksie dobiegła do końca, ale tak w ogóle to coś cały czas się dzieje. Z DIY jest tak, że ciężko się odzwyczaić. Założyłem, że w tym roku nie będzie żadnej produkcji przy której będę odpowiadał praktycznie za wszystko, ale nie wiem, czy dotrzymam słowa...

B: ZAGRANICZNE WYDANIA *VV* TO W OGÓLE CIEKAWY TEMAT. PODCZAS GDY SPRZEDANIE PRAW DO ZAGRANICZNYCH WYDAŃ KOMIKSÓW MARCINA PODOLCA CZY MICHAŁA ŚLEDZIŃSKIEGO JEST EFEKTEM STAŁEJ AKTYWNOŚCI PROMOCYJNEJ KULTURY GNIEWU I WSPÓŁPRACY Z NICOLASEM GRIVELEM*, TAK W PRZYPADKU ZAPAŚNIKÓW TO TYLKO I WYŁĄCZNIE KWESTIA TWOJEGO SAMOZAPARCIA W PROMOWANIU SWOJEGO KOMIKSU.

Marcin Podolec i Michał Śledziński prezentują wyższy poziom od mojego. Używając nomenklatury piłkarskiej - Śledziu i Kolec to jest ekstraklasa, a ja jestem obiecującym beniaminkiem na jej zapleczu. W takim przypadku ktoś za nich zajmuje się kwestią zagranicznych wydań, sprzedaży praw i tego typu sprawami.

Ja muszę jeszcze powalczyć i samemu wydreptywać kolejne ścieżki. Jeśli wierzysz w swój projekt, to uderzasz z nim wszędzie, gdzie się da. Ja tak robię. Chyba tylko Marvel i DC nie dostały ode mnie maila.

B: A POMOGŁA W TYM PUBLIKACJA NA COMIXOLOGY? JESTEŚ JEDNYM Z PIERW-

* niezależny francuski agent sprzedający prawa do komiksów

SZYCH POLSKICH TWÓRCÓW, KTÓREGO KOMIKSY MOŻNA TAM KUPIĆ.

Przebicie się na ComiXology, w sytuacji kiedy nie masz wsparcia wydawcy, jest zajebiście trudne. Tak jest, rzecz jasna, nie tylko z tą platformą. Lepiej tam jednak być niż nie. Proste. Czasem ktoś z zagranicy chce kupić *VI* i ComiXology to jedyna opcja, bo na przykład do Stanów docierało dziesięć papierowych egzemplarzy na sprzedaż.

Na pewno nie jestem pierwszy. W ramach Submit o tydzień albo dwa wyprzedził mnie *Jeż Jerzy* (*George the Hedgehog!*), ale póki co skończyło się na jednym numerze dostępnym w tej dystrybucji. Wcześniej był też Empro i twórcy rysujący dla zagranicznych wydawców publikujących cyfrowe edycje.

B: I UDAŁO CI SIĘ CHOĆ TROCHĘ PRZEBIĆ? OBECNOŚĆ *VI* NA COMIXOLOGY DAŁA JAKIŚ WYMIERNY EFEKT?

Nie udało, ale przy okazji recenzji autorzy mogli podać link :) Na razie nie przekroczyłem progu umożliwiającego wypłatę środków. Mój francuski wydawca pisał mi, że u niego sprzedaż cyfry też leży i kwiczy.

B: Z TEGO CO WIEM, MIAŁA SIĘ POJAWIĆ RÓWNIEŻ NIEMIECKA WERSJA *VRESTLERÓW*, ALE WSZYSTKO SIĘ ROZBIŁO O PEWNE KWESTIE ŚWIATOPOGLĄDOWE.

Nie chodziło o kwestie światopoglądowe, tylko prawne. Niemieckie prawo bardzo restrykcyjnie traktuje choćby nawiązania do nazistowskiej symboliki, a za takie można uznać stylizację liter „s" w wyrazie *Vreckless*. Wydawca zasugerował, żebym to zmienił, ja odpowiedziałem, że nie ma takiej możliwości. Napisałem coś w stylu „Ej, a kojarzycie logo KISS?", no i okazało się, że KISS ma zmieniony znak na okoliczność koncertów w Niemczech.

Nie będę ukrywał, to jest świadome nawiązanie, ale właśnie w stylu KISS a nie Konkwisty 88. Płakał nie będę, gdyby wydawca był poważny, to kwestia zostałaby poruszona na samym początku współpracy, a nie po podpisaniu umowy i pół roku korespondencji.

B: MOŻNA CHYBA ŚMIAŁO POWIEDZIEĆ, ŻE JESTEŚ JEDNYM Z NAJBARDZIEJ PRACOWITYCH POLSKICH TWÓRCÓW KOMIKSÓW. ZGODZIŁBYŚ SIĘ Z TYM STWIERDZENIEM?

Do tytanów mi jeszcze nieco brakuje, ale zgadzam się i poczytuję to sobie za komplement.

B: CZEGO MOŻEMY SIĘ SPODZIEWAĆ OD CIEBIE W NAJBLIŻSZEJ PRZYSZŁOŚCI?

W tym roku chcę opublikować możliwie dużo mniejszych rzeczy w zagranicznych antologiach/zinach/magazynach. Potem się to zbierze, doda nieco publicystyki i być może ktoś wyda całość po polsku – jako autorską antologię. Rozmawiam z kilkoma osobami na temat wystaw, co będzie dla mnie kolejnym przełomem. Kończę od roku pracę nad złożeniem do kupy kontynuacji przygód *Jake'a Collinsa*. Zaczynam rysować komiks do scenariusza kolegi ze Stanów i z kilkunastoma przykładowymi stronami będziemy atakować wydawców na całym świecie. Jeszcze coś na pewno jest w planach, ale nie mam pod ręką kapownika.

Bałtycki Festiwal Komiksu

26-28.06.2015 · Gdańsk

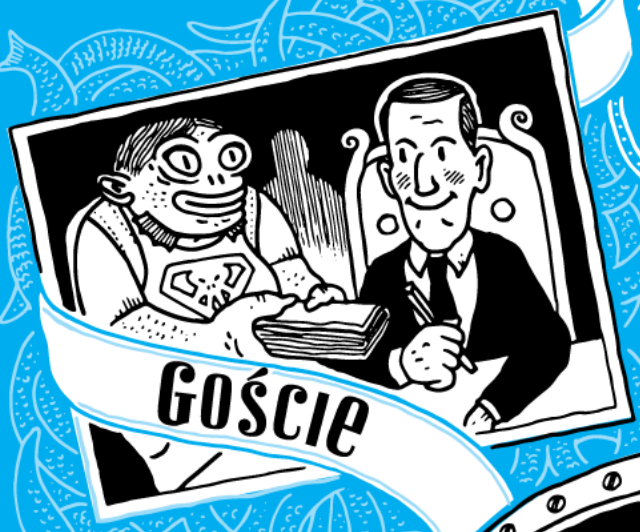

Goście

8

Wystawy

Premiery

Biblioteka Manhattan
Grunwaldzka 82

Stoiska

Warsztaty

Ben Templesmith
Ashley Templesmith
Mateusz Skutnik
Marcin Rustecki
Andrzej Rysuje
Łukasz Kowalczuk
i inni

Spotkania

WWW.BFK.Hanami.PL | WWW.FB.COM/BaltyckiFestiwalKomiksu

Organizatorzy

Imprezę wspierają

Patroni medialni

JAK DAREDEVIL SKOPAŁ TYŁEK ARROWOWI

tekst:
JULIAN JELIŃSKI

Po pierwszych odcinkach ***Arrowa*** pojawiły się głosy, że wreszcie trafił się „poważny", „mroczny" serial superbohaterski. Trup ścielił się gęsto, heros biegał w ciemnościach, miał tak niski głos i tak wielkie dylematy moralne (kogo z książeczki ojca zabić następnego... och! Te szekspirowskie nawiązania!). O lata świetlne przewyższał ***Agentów T.A.R.C.Z.Y.*** i ***Gotham*** (choć nawet książka telefoniczna przebija te seriale) i dopiero ***Flash*** pokazał, że ***Arrow*** wcale nie jest taki świetny. Tymczasem nadszedł ***Daredevil***... i cały mrok, powaga oraz dramat zamaskowanego łucznika w ciągu jednego dnia okazał się ledwie azbestową papą przykrywającą butwiejący domek z drewna. Serial ***Marvela*** obnażył każdą słabość ***Arrowa***, krok po kroku ukazując absurdalność fabuły oraz przyczyny, dla których ów „mrok" oraz owe „problemy" są tak sztuczne i nie wywołują u widza żadnych emocji (nie wliczając części widowni czekającej na sceny, w których ***Oliver*** ściąga koszulkę albo ***Felicity*** ubiera zbyt kusą spódniczkę).

Przyjrzyjmy się, co zdecydowało o zwycięstwie *Daredevila* i obnażyło tę spektakularną porażkę *Arrowa*.

Zacznijmy od tego kim są bohaterowie obu serii. ***Oliver Queen*** to bogaty chłoptaś, który chwycił za łuk ponieważ strzelać nauczono go na „bezludnej" wyspie, na której spędził pięć lat. Wrócił do swojej willi, firmy i wielkiego majątku, a do walki ze złoczyńcami najpierw popychała go chęć upamiętnienia ojca, a potem zmarłego przyjaciela (co też powtarzał w czołówce każdego odcinka). Wspaniała motywacja. A co skłoniło ***Matta Murdocka*** do przywdziania bordowego stroju? Umiejętności ćwiczył od dziecka, nie wiedząc tak naprawdę po co, i dopiero nocne nasłuchiwanie sąsiada molestującego własną córkę (telefony na policję nie przynosiły oczywiście rezultatu) sprawiło, że zdecydował się własnoręcznie wymierzyć sprawiedliwość. Wysłał oprycha do szpitala, poczuł dumę i zdał sobie sprawę, iż dzięki swym umiejętnościom może pomóc tym wszystkim pozbawionym głosu ludziom. To podstawowa różnica: ***Queen*** – motywowany jest chęcią upamiętnienia rodziny i nawet ***Diggle*** musi go początkowo przekonywać, by zajął się „zwykłymi złoczyńcami" oraz ***Murdock*** – popchnięty do działania niemożnością poradzenia sobie z otaczającą go niesprawiedliwością i nieskutecznością prawa. Zabawy bogatego panicza kontra cierpienie młodego idealisty.

A jak wygląda sprawa złoczyńców? Teoretycznie w pierwszym sezonie ***Arrow*** musi się zmierzyć z ***elitą Starling***

City, która w jakiś sposób nieuczciwie zyskała swoje pieniądze i „zawiodła miasto". Raz po raz słyszymy, że udaje mu się odzyskać pieniądze i przelać je komuś. O kogo chodzi? Nie wiemy. Co z tego wynika? Nie wiemy. Kto na tym zyskuje? Nie wiemy. Jak to wpływa na dzielnicę miasta, którą ponoć ma ochraniać? Nie wiemy. Nie widać żeby cokolwiek się zmieniało w tej biednej dzielnicy – podobnie zresztą jak w całym mieście. Do tego większość walk to starcia na szczeblu rodzinno-znajomościowym. Wygląda to trochę jak ***Dynastia plus zielone strzały*** i trochę wybuchów. Autorzy serialu chcą byśmy bardziej martwili się rozpuszczonym dzieciakiem, który pił i ćpał (***Thea***) lub tym, czy pani adwokat/prokurator (***Laurel***) wróci do Olivera.

A ***Murdock***? Facet zaczyna walkę z przestępcami od najdrobniejszych złodziejaszków, których i tak spotkałby dzięki swoim zmysłom. Odkrywa świat przestępstw powoli, uczy się go nie mając prezentu od tatusia i nie żyjąc z głównymi złoczyńcami, którzy są tak naprawdę jego rodziną czy też przyjaciółmi. Walczy o zachowanie Hell's Kitchen w takim kształcie w jakim jest i uderza w tych, którzy chcą podnosić czynsz, wyrzucać ludzi z ich mieszkań socjalnych, okradać zwykłych przechodniów lub porywać ludzi.

Najgorzej wypada jednak porównanie bohaterów. Bogata rodzina Queenów i tak samo nadziana familia nemezis ***Arrowa*** – ich zmagania przypominają bardziej odcinki ***Mody na sukces*** niż serialu superbohaterskiego. W ***Arrow*** fundusze pojawiają się znikąd i dziwnym trafem zawsze posiadają je zarówno złoczyńcy, jak i bohaterowie. Gdy ktoś tych pieniędzy nie ma, to i tak radzi sobie znakomicie – pierwsza ***Black Canary*** mieszka w opuszczonym budynku, a mimo to jej twarz zawsze zdobi nienaganny makijaż i zakłada świetne stroje. Ale na tym nie koniec. Serial nawet nie ukrywa, że ***Diggle*** pełni role czarnego służącego w bogatej, białej rodzinie. Przez większość czasu zresztą obserwujemy spotkania w wystawnych salach, na najwyższych piętrach biurowców, przystrojonych ludźmi w nienagannych garniturach. Ale nie służą one

niczemu innemu niż pokazaniu, że „jesteśmy bogaci, więc nie musimy umieć pracować, bo i tak będziemy jeszcze bogatsi".

Z drugiej strony bohaterowie ***Daredevila*** to początkujący, ubodzy prawnicy, pielęgniarka, reporter upadającej gazety oraz starsza pani ledwo znająca angielski. Stanowią przekrój pracującej klasy średniej. Dzięki temu znacznie lepiej rozumieją problemy z jakimi muszą zmagać się biedni mieszkańcy ***Hell's Kitchen***. To ich perspektywa jest tą, z którą utożsamia się widz. Zresztą nie ma się czemu dziwić – ciężko o widza multimilionera, którego hobby to skakanie po dachach budynków. Nawet ***Batman*** nie kibicowałby ***Arrowowi*** (nie muszę zresztą wspominać, że ***Arrow*** jak do tej pory wciąż jest małym, domorosłym fanbojem ***Mrocznego Rycerza***, który nieporadnie stara się być jak jego ideał. Mogę się założyć, że Oliver ma plakat tego bohatera nad swoim łóżkiem i przed zaśnięciem powtarza „jestem nocą!").

Wydawać by się mogło, że tyle łączy tych serialowych bohaterów. ***Daredevil*** dobitnie jednak pokazuje, jak pustym, sztucznym, wypranym z treści serialem jest ***Arrow***. Chociaż obaj zaczynają od starcia z wielkimi bogaczami swoich miast, to w przypadku ***Queena*** walka o biedną dzielnicę szybko przeistacza się w śmieszną i absurdalną obronę przed zrównaniem dzielnicy z ziemią (bo przecież inaczej nie rozumiałby dlaczego ma tych biedaków „chronić"). Niezwykle dziwaczne są też motywacje burżuazji w ***Starling City***. To nie bogaci przedsiębiorcy, a karykaturalni super-złoczyńcy, którzy dodatkowo wierzą, że wyburzenie części miasta w jakiś sposób uhonoruje śmierć żony albo kogoś innego. Kto może na serio wziąć taką motywację i plan „przejęcia władzy w mieście"? Jakże odróżnia się to od ***Kingpina*** i jego współpracowników. Choć w serialu przewija się handel żywym towarem oraz narkotykami, to jednak największym złem jest podnoszenie czynszów, wywłaszczanie rdzennych mieszkańców ***Hell's Kitchen***, wykupywanie mieszkań socjalnych – najogólniej mówiąc gentryfikacja. Nietrudno połączyć wydarzenia fikcyjne z tym, co obecnie dzieje się w Stanach Zjednoczonych, z czym ogromna liczba widzów może się utożsamiać. Gentryfikacja to poważny problem i w ***Daredevilu*** zostaje odpowiednio potraktowany. Na próżno szukać tam armii super mięśniaków w maskach – biegających po mieście i pięściami podpalających setki budynków oraz samochodów (czy zauważyliście, by którykolwiek z nich podkładał ogień pod cokolwiek? Nie. A czy miasto płonie mimo tego? Tak).

Niestety, póki nie było ***Daredevila***, ***Arrow*** mógł udawać, że jest w miarę „poważny". Jednak serial Netflixa dobitnie obnażył fakt, że twórcy serialu stworzyli bogatego chłoptasia, który zabija w imię ojca, a potem rani w imię przyjaciela – przy okazji większość czasu spędzając na rozważaniu swoich rodzinnych rozterek zamiast na faktycznym pomaganiu ***Starling City***... To ***ON*** zawiódł to miasto (i swój komiksowy pierwowzór), za co zasługuje na strzałę w serce.

A najlepiej będzie, jak ją wystrzeli pewien ślepy bohater.

DOSYĆ TEGO BATMANA!

CZYLI DC I WARNER BROS. BUDUJĄ WŁASNE FILMOWE UNIWERSUM.

tekst:
WOJCIECH NELEC

Jest coś niesamowitego w fakcie, że wspólne występy bohaterów w ramach różnych mediów potrafią wzbudzić aż tyle emocji. Tak zwane crossovery obecne są w komiksach superbohaterskich prawie od początku ich istnienia, jednakże przeniesienie tej formuły na wielki ekran trwało sporo czasu. Nie da się ukryć, że to właśnie ***Avengers*** Marvela przetarło na poważnie pierwsze szlaki w tym temacie. A co z konkurencją? Przecież DC Comics miało bogatszą historię ekranizacji zanim w kinach pojawił się ***Iron Man***, rozpoczynający rozbudowane uniwersum.

CZĘSTO MÓWI SIĘ, ŻE WARNER BROS. POTRAFI ROBIĆ DOBRE FILMY JEDYNIE Z BATMANEM.

O ile każda z serii sagi o ***Mrocznym Rycerzu*** ma swoich zwolenników oraz przeciwników, tak nie da się ukryć, że praktycznie żaden inny obraz na podstawie komiksu DC Comics nie osiągnął zbyt dużego uznania zarówno wśród krytyków, jak i fanów. Najlepszym tego przykładem jest ***Green Lantern*** z 2011 roku. Niesamowity potencjał drzemiący w świecie Zielonych Latarni został, delikatnie mówiąc, zmarnowany, przez co kolejna próba rozpoczęcia filmowego uniwersum DC Comics legła w gruzach. Kolejna, gdyż studio w 2009 roku planowało premierę ***Justice League: Mortal***, lecz ostatecznie po licznych problemach wytwórni (głównie strajk scenarzystów) oraz zmianie strategii (skupienie się na solowych filmach),nie doszło do jego realizacji. I w taki oto sposób w kinach królował ***Batman***, a gdzieś obok dogorywali przegrani w postaci ***Green Lanterna*** czy ***Superman: Powrót***.

DC postanowiło jednak się nie poddawać i **rok przed premierą *Mroczny Rycerz powstaje* rozpoczęto prace nad filmem *Człowiek ze stali***, czyli kolejnym podejściem do postaci Supermana na wielkim ekranie. Nie jest to przypadek, gdyż wydawnictwu groziły konsekwencje prawne w wypadku braku realizacji produkcji do 2011 roku, a dokładniej wypłacenie odszkodowania rodzinie twórców postaci. Jak można było łatwo się domyślić, sukces nowego filmu miał zadecydować, czy będzie on bazą dla zupełnie nowego świata. I ostatecznie tak też się stało – mimo bardzo wielu dyskusji na temat tego, w jaki sposób przedstawiono tym razem ostatniego syna Kryptonu. ***Człowiek ze stali*** Zacka Snydera okazał się początkiem filmowego uniwersum DC Comics – niczym komiksowy Kal-El, gdy rozpoczął erę superbohaterów.

Trudno było nie zauważyć, że kiedy Marvel prężnie rozwijał swój świat na wielkim ekranie, to konkurencja, mimo wielu złożonych obietnic, stała jakby w miejscu. **Od DC oraz Warner Bros. wymagano bardzo wiele przez pryzmat *Iron Mana* i spółki. Trzeba jednak pamiętać, że start Marvela również nie był ekspresowy, a sensowny plan wymagał dokładnego przemyślenia.** W końcu, w 2013 roku podczas San Diego Comic-Con, wszyscy fani DC

▪ Raz, dwa, trzy, krwawić będziesz ty.

Comics nie potrafili stłumić euforii – zapowiedziano długo oczekiwany film z Batmanem i Supermanem, który ma także pełnić funkcję poszerzania świata znanego z ***Człowieka ze stali.*** Rok później studio w końcu ujawniło swój pełny plan celuloidowych widowisk. Do ***Batman v Superman: Dawn of Justice*** dołączyły takie produkcje, jak:

2016. SUICIDE SQUAD
2017. WONDER WOMAN
2017. JUSTICE LEAGUE: PART ONE
2018. FLASH
2018. AQUAMAN
2019. SHAZAM
2019. JUSTICE LEAGUE: PART TWO
2020. CYBORG
2020. GREEN LANTERN

Dobór planowanych filmów daje nadzieję. Przede wszystkim swój debiut na wielkim ekranie nareszcie zaliczy ***Wonder Woman***, która zasługiwała na niego od bardzo długiego czasu. Warto także zwrócić uwagę na chęci przedstawienia masowej widowni ***Shazama*** i ***Cyborga***. Cieszy również fakt, że DC postanowiło dać kolejną szansę uniwersum Zielonych Latarni (świat musi się dowiedzieć, że maski na oczy niekoniecznie muszą być tworzone w CGI!). Zmartwienia budzi jednak ton, jaki narzucono już w ***Człowieku ze stali***. Superman został dosyć mocno wyprany z cech, które definiowały tego bohatera. Mogłoby się wydawać, że to właśnie masowy odbiorca miał dość uśmiechniętego harcerzyka z charakterystycznym loczkiem i majtkami na wierzchu. W efekcie, filmowe uniwersum DC Comics zapowiada się na niezbyt kolorowe, a wyraźne preferencje Zacka Snydera co do materiału źródłowego (***Powrót Mrocznego Rycerza***, tak dla przykładu) budzą wątpliwości, czy znani nam dobrze bohaterowie nie staną się, ze względu na mrok i powagę, zbyt przesadzoną wersją siebie samych.

Długo oczekiwana machina promocyjna ***Batman v Superman: Dawn of Justice*** ruszyła wraz z pierwszymi zdjęciami Batmana i Wonder Woman oraz teaserem produkcji. Zwiastun stał się tylko silniejszym argumentem dla osób, które uważały, że filmowe DC Comics idzie w zdecydowanie za mrocznym kierunku. Trudno jednak nie zauważyć pewnej ironii, gdy sam Mroczny Rycerz został oskarżony o bycie przykrym, samotnym bohaterem. Obecność Batmana, szczególnie w takiej wersji, bo inspirowanego ***Powrotem Mrocznego Rycerza*** Franka Millera, oczywiście wiąże się z tym, że nie będziemy mieć do czynienia z wesołym i idyllicznym nastrojem. Pytanie jednak co dalej? **W końcu już za dwa lata widzowie będą mogli wybrać się na pierwszy w historii film z *Ligą Sprawiedliwości*.**

Nie ma co ukrywać, że pierwszy crossover DC Comics na wielkim ekranie ma bardzo ważne zadanie do wykonania. Jego sukces lub porażka mocno zadecyduje o tym, jak zarówno fani i niedzielni widzowie będą spoglądali na kolejne ekranizacje przygód amerykańskich bohaterów. Praktycznie każdy z elementów ***Batman v Superman: Dawn of Justice*** jest poruszany po raz pierwszy na tak dużą skalę, zatem nie zabraknie wielu czujnych oczu skierowanych na Zacka Snydera i całą ekipę twórców. **Jedną z najważniejszych kwestii będzie wizerunek *Wonder Woman*.** Kreowanie kobiecych postaci w popkulturze to coś, co zawsze wymagało naprawy i miejmy nadzieję, że następujące coraz częściej pozytywne zmiany (patrz: serie komiksowe Ms. Marvel, Batgirl i tym podobne), będą miały też swój udział w filmie Snydera. Porażka w kwestii przedstawienia słynnej Amazonki może przekreślić nie tylko oczekiwania fanów, ale także zostawić podobny niesmak jak ***Green Lantern***.

Gdy Zack Snyder i jego ekipa są na etapie postprodukcji, w Montrealu David Ayer kręci ***Suici-***

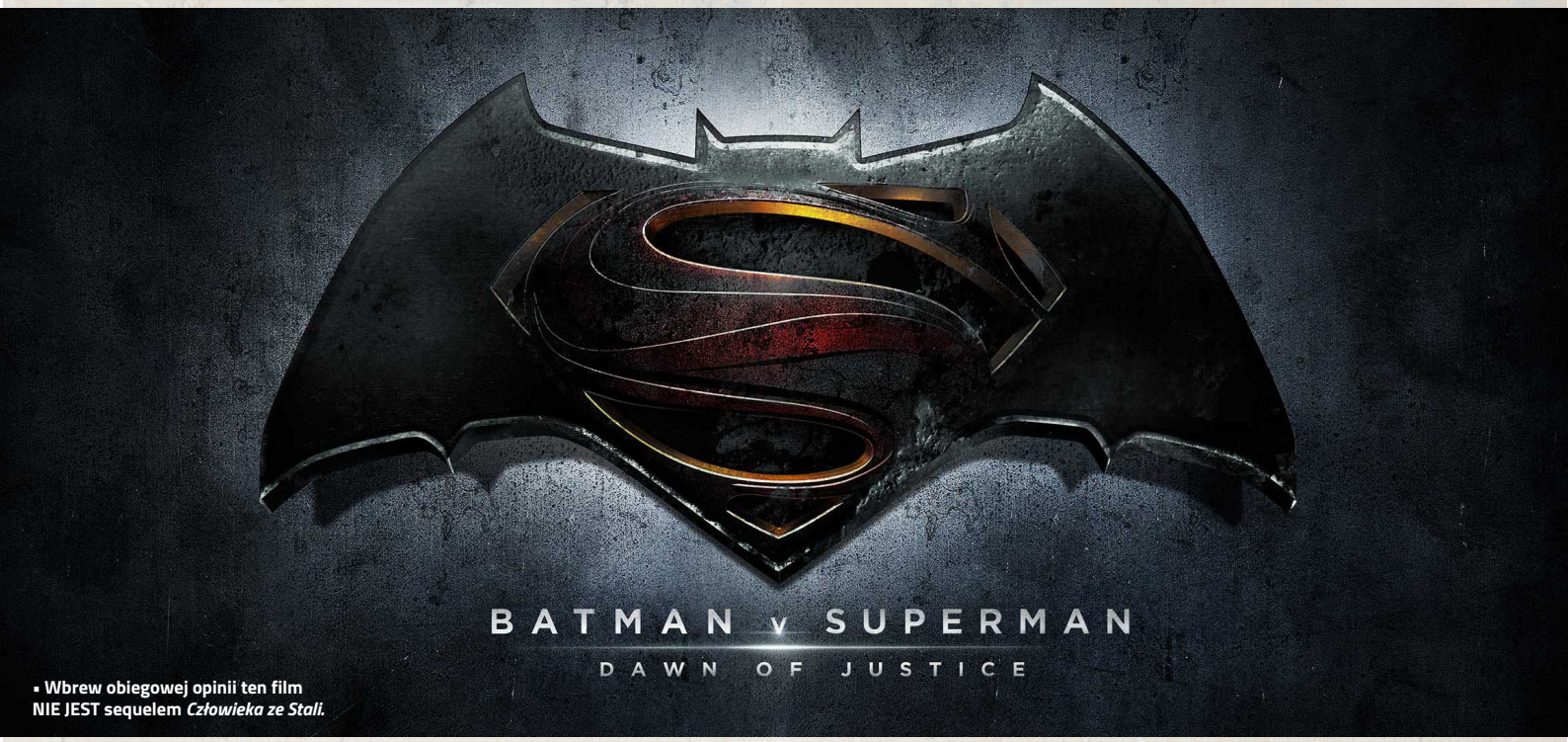

▪ Wbrew obiegowej opinii ten film NIE JEST sequelem *Człowieka ze Stali.*

de Squad. Rąbek tajemnicy dotyczący składu zespołu i innych bohaterów w końcu został odkryty, zanim dociekliwi reporterzy mogli dostać szansę uchwycenia aktorów na planie. Całość wydaje się być iście szalona, ponieważ mamy do czynienia z ogromną liczbą postaci – zarówno mniej, jak i bardziej znanych. Taka mieszanka staje się wybuchowa wraz z udziałem wcześniej wspomnianego Ayera. Przed reżyserem również bardzo trudne zadanie - ***Suicide Squad* będzie debiutem Harley Quinn na wielkim ekranie.** To postać bardzo ważna w komiksach, reprezentująca toksyczny związek i jego konsekwencje. Niestety DC Comics ostatnio zapominało o najważniejszych cechach własnej bohaterki. ***Harley Quinn*** zaczęła jednak odzyskiwać swój pierwotny wizerunek po starcie solowej serii komiksowej oraz w ***Injustice: Gods Among Us*** (głównie na płaszczyźnie wizualnej). Trzymanie mocno kciuków za Ayera w kontekście tej bohaterki jest mocno wskazane. Po opublikowaniu zdjęć wszystkich postaci w sieci zaczęła krążyć bardzo słuszna myśl – nie ważne, jak Harley wygląda, liczy się to, jak będzie się zachowywać. Bo jedyne, czego nam brakuje (poza Supermanem będącym męczennikiem), to ***Pięćdziesiąt twarzy Greya*** w wydaniu DC Comics.

Inną zagadką poszczególnych filmów jest również materiał źródłowy. Nic nie uszczęśliwia fanów bardziej niż obejrzenie na dużym ekranie swoich ulubionych motywów przeniesionych z historyjek obrazkowych. ***Batman v Superman: Dawn of Justice* jest silnie powiązany z *Powrotem Mrocznego Rycerza***, a David Ayer z kolei zdradza, że jego film to mieszanka klasycznego i nowoczesnego ***Suicide Squad.*** Co w takim razie z resztą bohaterów? Każdy z nich ma bogaty zasób materiału źródłowego. Ciężki orzech do zgryzienia czeka także ***Justice League*** - prawie każda historia genezy owej drużyny wiązała się z zagrożeniem z innego świata (Darkseid, Starro, Biali Marsjanie). Łatwo w ten sposób będzie zauważyć schemat zbyt podobny do ***Avengers***. **Udział Darkseida jest praktycznie nieunikniony**, biorąc pod uwagę jak ważną jest postacią w obecnych komiksach. Czy widzowie będą gotowi na kolejny atak kosmitów? Czas pokaże.

Przed DC Comics oraz Warner Bros bardzo trudne i czasochłonne zadanie. Fani długo musieli czekać na wspólne uniwersum ich ulubionych postaci oraz przebrnąć przez wiele nieudanych projektów. I co ciekawe to właśnie Warner posiada prawa do wszystkich bohaterów DC Comics, a Marvel Studios nie mając takiego przywileju wystartowało ze swoim projektem dużo wszcześniej. W tej chwili pozostaje nam tylko zachować cierpliwość i – mam nadzieję – ostatecznie w 2016 roku wyjdziemy z kina zadowoleni. **W innym wypadku filmowe DC Comics będzie miało na koncie więcej restartów uniwersum niż w swoich komiksach.**

tekst: Grzegorz Fortuna

SZKOŁA PACHNĄCA PLUTONEM

czyli ułańska fantazja zaklęta na VHS

Wyobraź sobie, drogi czytelniku, że jest druga połowa lat osiemdziesiątych i właśnie udało ci się zarobić trochę podczas wakacyjnej pracy na Zachodzie. Od zawsze przeczuwałeś, że masz smykałkę do biznesu, więc za zarobione pieniądze kupujesz magnetowid. W Polsce te elektroniczne cuda zdobyć można właściwie tylko w Pewexie i Baltonie, za astronomiczną sumę pięciuset dolarów, czyli równowartość rocznej średniej krajowej. Stać na nie tylko tych, którzy pracowali za granicą albo dostali zastrzyk gotówki od krewnych zza oceanu, ale odtwarzaczy wideo mimo wszystko przybywa, więc przeczuwasz, że była to dobra inwestycja. Żeby dorobić się w Polsce na raczkującym wideobiznesie, potrzebujesz jeszcze filmów – najlepiej zachodnich, atrakcyjnych dla widza spragnionego prawdziwej rozrywki. Bierzesz coś, co wygląda jak RAMBO, ale nim nie jest – jakiś film kung-fu z sobowtórem Bruce'a Lee na okładce. I komedię, bo one przecież zawsze będą popularne. Rzecz nazywa się A FISH CALLED WANDA i wygląda na bardzo zabawną.

Po powrocie wiesz już, że będziesz te filmy dystrybuował na lokalnym bazarze. Do kopiowania kasety potrzebujesz drugiego magnetowidu, ale szwagier ma na szczęście całkiem sprawnego Sanyo i zgadza się wejść z tobą w nieformalną spółkę. Żeby filmami ktoś się zainteresował, brakuje jeszcze tylko lektora. Stawiasz na pana Czesława spod trójki, który ma bardzo radiowy głos i na pewno zgodzi się przeczytać dialogi za flaszkę. Jako że liznąłeś trochę angielskiego za granicą, tytuł postanawiasz przetłumaczyć sam. „Wanda" to na pewno Wanda – jak z WANDY I BANDY – a „fish" to oczywiście ryba. Jest natomiast niewielki problem z tym całym „called". Czyta się „kold", więc pewnie chodzi o to, że Wanda jest zimna oraz niedostępna. TA ZIMNA RYBA WANDA? Brzmi klawo! Pozostaje tylko połączyć dwa magnetowidy, dać panu Czesławowi listę dialogową i można kopiować!

We wszelkiego rodzaju internetowych zestawieniach najgorszych tłumaczeń tytułów filmowych często powtarzają się kasetowe hity z lat osiemdziesiątych, w szczególności TERMINATOR przełożony na ELEKTRONICZNEGO MORDERCĘ i DIRTY DANCING, rozprowadzane jako WIRUJĄCY SEKS. Problem w tym, że żaden z tych przekładów nie jest zły. TERMINATOR to w języku polskim „uczeń odbywający naukę rzemiosła u majstra" i takie znaczenie tego słowa było nadal znane w latach osiemdziesiątych, nic więc dziwnego, że translator, mający do czynienia z filmem o – jak by nie patrzeć – elektronicznym mordercy, postawił na tłumaczenie opisowe. Zdecydowanie trudniej wybronić WIRUJĄCY SEKS, ale i tu można argumentować, że tłumaczenie dosłowne: SPROŚNE WYGIBASY czy inne KUSZĄCE PLĄSY, brzmiałyby co najmniej komicznie. WIRUJĄCY SEKS oddaje natomiast jako tako sens tytułu oryginalnego.

Aby znaleźć naprawdę komiczne, nieporadne, a czasami wręcz urocze tłumaczenia, trzeba zajrzeć do starych, przykurzonych i pożółkłych katalogów wideo, takich jak choćby „The Best of Video 1991", w którym pokrótce recenzowano zarówno legalne, jak i zupełnie pirackie kasety z polskich wypożyczalni oraz bazarów. To stamtąd dowiemy się na przykład, że kultowy ERASERHEAD był początkowo dystrybuowany

pod niezwykle zachęcającym tytułem: GŁOWICA ŚCIERAJĄCA, a DIE HARD – bijąca rekordy wypożyczeń SZKLANA PUŁAPKA – chodziła jako BRUTALNA ŚMIERĆ. Osoba odpowiedzialna za tłumaczenie wyraźnie nie znała znaczenia tytułowego idiomu, doszła więc do wniosku, że skoro z „die" robi się „umierać", a „hard" znaczy „ciężko", no to na bank śmierć była ciężka, a więc na pewno brutalna.

Twórcy zachodnich filmów rzucali polskim tłumaczom wiele kłód pod nogi. Jednym z ciekawszych przykładów jest zapomniany horror z wytwórni FULL MOON, niemal nieprzetłumaczalny SORORITY BABES IN THE SLIMEBALL BOWL-O-RAMA. Zanim film został wydany legalnie przez Elgaz pod tytułem DZIEWCZĘCY KLUB, na rynku pojawiła się wersja piracka, przełożona z iście ułańską fantazją na DZIEWCZĘTA Z ŻEŃSKIEGO KOŁA STUDENCKIEGO W KLEGORAMIE OŚLIZŁEJ. Podobną pomysłowością wykazał się autor polskiej wersji CLASS OF NUKE'EM HIGH z Tromy. Kopia z niemieckim dubbingiem wylądowała na naszych bazarach pod wspaniałym tytułem SZKOŁA PACHNĄCA PLUTONEM.

Domorosłym translatorom, uzbrojonym w kieszonkowy słownik i marzenia o szybkim zarobku, często trafiały się wpadki. DRAKĘ W BRONKSIE postanowiono nieco spolszczyć i tak powstała DRAKA W BRĄKSIE. Niskobudżetowy horror MONSTROSITY z 1987 roku uznano prawdopodobnie za MONSTER CITY i przechrzczono na MIASTO POTWORA. Niektórzy tłumacze potrafili jednak zadbać o odpowiednio zachęcający tytuł. Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych bardzo popularne były azjatyckie filmy karate, masowo rozprowadzane na polskich targowiskach po wielkim kinowym sukcesie WEJŚCIA SMOKA. Jeden z nich można było wypożyczyć pod tytułem UWAŻAJ SKOŚNOOKI. To komiczny, ale jednocześnie perfekcyjny tytuł – zwiastuje nie tylko obecność azjatyckich kopaczy, ale i fakt, że prawdopodobnie pojawi się jakieś zagrożenie, z którym będą się musieli zmierzyć.

W omawianym okresie tytuł był właściwie jedynym wyznacznikiem atrakcyjności filmu. Dystrybuowane na bazarach kasety nie miały bowiem okładek z opisami fabuł czy zdjęciami aktorów. I choć niektóre z wymienionych przekładów świadczą o totalnym braku umiejętności translatorskich ich autorów, są jednocześnie fascynującym dokumentem epoki, w której nie liczyły się nakłady na marketing, zwiastuny oraz wielkoformatowe billboardy, a jedynie kreatywność dystrybutora-amatora. Przypominają o Polsce okresu transformacji, zachłyśnięciu mitycznym Zachodem – czasach, w których magnetowid stanowił skarb, a wiara w moc kapitalizmu była silniejsza niż kiedykolwiek.

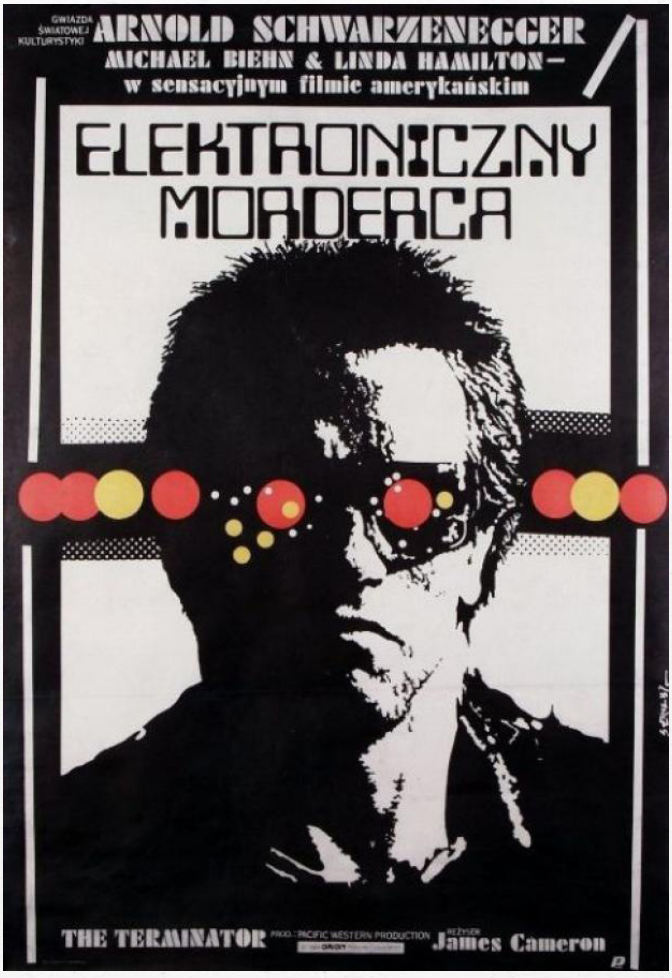

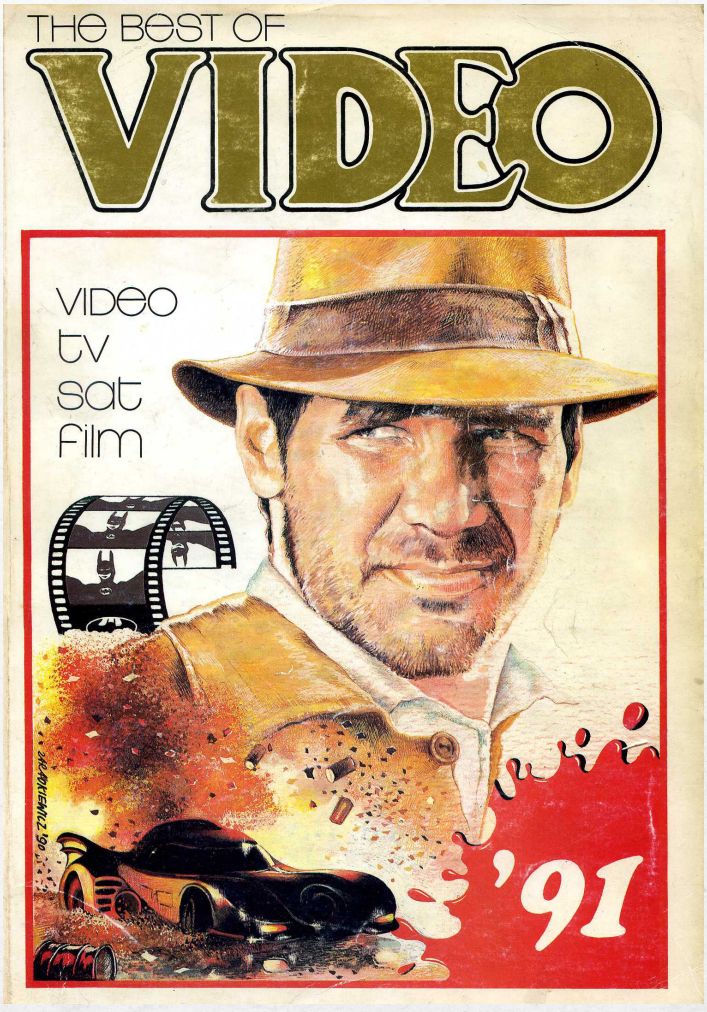

NOWY TOM ANTOLOGII JUŻ DOSTĘPNY

więcej informacji na www.profanum.com.pl

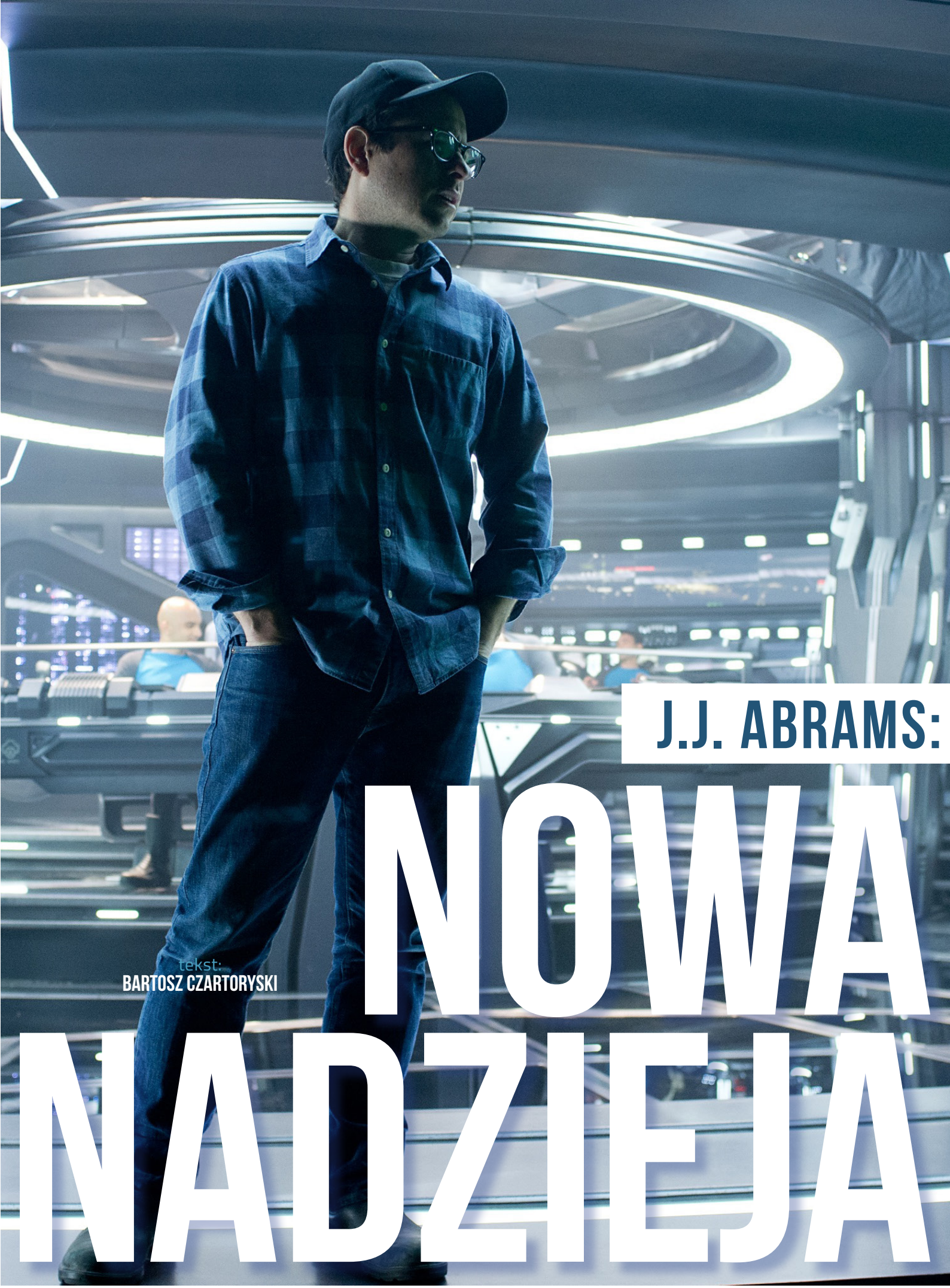

J.J. ABRAMS:

NOWA NADZIEJA

tekst:
BARTOSZ CZARTORYSKI

Niegdyś **bombastyczne kino hollywoodzkie** równano do Spielberga, potem – już raczej z szyderczym uśmiechem – do Baya i Emmericha, a kto wie, czy za parę lat takim punktem odniesienia nie stanie się **Jeffrey Jacob Abrams.**

Zresztą on sam został przez Spielberga nieformalnie namaszczony, gdy obaj panowie pracowali przed paroma laty nad **Super 8**, zaś prasa branżowa pośpiesznie określiła niemłodego już przecież reżysera piewcą kina nastoletniego. Ba, wolno zaryzykować stwierdzenie, że był to film, o nakręceniu którego Abrams – wychowany przecież na kinie Nowej Przygody – mógł marzyć od dzieciaka, lecz na nieskrępowane naśladownictwo stylu swego mentora pozwolił sobie dopiero, kiedy ten poklepał go po plecach.

Nie jest jednak plagiatorem i ma pomysł na kino, choć nadal znajduje się na etapie twórczych poszukiwań i trudno powiedzieć, w którą stronę obierze kurs, szczególnie że stale lawiruje pomiędzy kinem a srebrnym ekranem.

Za młodu nasiąknął celuloidem, jego ojciec jest wziętym producentem telewizyjnym, więc można przypuszczać, że Abrams od małego poznawał zakamarki atelier. I nie tylko on, bowiem siostra pracuje w branży jako scenarzystka, zaś matka zajmowała się produkcją filmową. Abrams już jako nastolatek skomponował muzykę do jednego z dziełek kultowego dziś twórcy niskobudżetowych filmów sci-fi i horrorów Dona Dohlera, potem, na uczelni, wziął się za scenariusze oraz treatmenty i coraz częściej przewijał się w napisach końcowych jako producent. Do telewizji i kina wysokobudżetowego zawitał w 1998 roku, kiedy to na antenę trafił serial jego autorstwa – **Felicity** – a na dużym ekranie pojawił się napisany przez niego **Armageddon**. I o ile ten pierwszy tytuł gościł w amerykańskich domach jeszcze przez kilka ładnych lat, tak za współtworzony przez siebie scenariusz do filmu Michaela Baya zebrał Abrams cięgi zwieńczone gorzką nominacją do **Złotej Maliny**.

KORONOWANA GŁOWA TELEWIZJI

Ciągnący się przez cztery sezony serial i wątpliwe wyróżnienie za marny scenariusz – niezbyt dobry wynik jak na przyszłą nadzieję kina rozrywkowego. O Abramsie w ten sposób nie myślał jednak wówczas zapewne nawet i sam Abrams. Dlatego też długo nie wychodził z telewizyjnego getta, w którym okopał się na całkiem wygodnej pozycji. Przez pięć lat – poczynając od roku 2001 – emitowano współtworzone przez niego **Alias**, zaś w 2004 roku dał stacji ABC prawdziwą bombę, a raczej piñatę, z której zamiast słodkości poleciały dolary. Serial **Zagubieni** dzisiaj jest już telewizyjnym klasykiem; jego oglądalność nawet w kryzysowych momentach nie spadła poniżej jedenastu

BB-8 doczekał się już przynajmniej jednego tatuażu na skórze zachwyconego zwiastunem widza.

milionów widzów, zaś wydruk listy nagród, jakie zgarnął podczas całego okresu emisji, pochłonąłby bez mała ryzę papieru. Abrams stał się tym samym półbogiem telewizji – gdy nie pracował nad **Zagubionymi**, nieustannie maczał palce w innych projektach – i dopiero wówczas upomniało się o niego kino.

Plotka głosi, że sam Tom Cruise osobiście zadzwonił do Abramsa po obejrzeniu pod rząd dwóch sezonów **Alias** i zaproponował mu wyreżyserowanie trzeciej części przygód Ethana Hunta i jego ekipy od misji niemożliwych. Król seriali nie był pierwszym wyborem, wcześniej z projektu wycofał się David Fincher, lecz Abrams okazał się strzałem w dziesiątkę – **Mission: Impossible III** zarobiło krocie i krytyka, na spółkę z widzami, nie mogła się nachwalić debiutującego w pełnym metrażu reżysera. Nie brakowało też głosów, jakoby Abrams nie podźwignął ciężaru, a jego film to ponure, mroczne i mające niewiele wspólnego z letnim blockbusterem widowisko; kolejną odsłonę serii podpisał już jako producent. Rok 2008 to data premiery zakończonego dwa lata temu serialu **Fringe: Na granicy światów**, kolejnego telewizyjnego tryumfu Abramsa, który poszedł za ciosem i swoim nazwiskiem firmował jeszcze parę innych produkcji zrealizowanych na potrzeby małego ekranu, lecz do dziś na wizji utrzymali się jedynie **Impersonalni**.

POWRÓT DO PRZYSZŁOŚCI

Niedługo po sukcesie **Mission: Impossible III** zwrócono się do Abramsa z propozycją realizacji potencjalnego hitu kinowego. Tym razem zagadnęli go dwaj scenarzyści, Roberto Orci i Alex Kurtzman, z którymi pracował przy swoim kinowym debiucie, a chodziło o jedenasty już film pełnometrażowy osadzony w uniwersum **Star Treka**, który miał być jednoczesnym rebootem serii. Taka koncepcja pasowała Abramsowi. Od dziecka wolał **Gwiezdne wojny** i w pewnym momencie oddalił się od ekipy statku Enterprise na tyle, że nie bardzo orientował się w tym, kto stanął na mostku po Kirku i Spocku. Dlatego też uwiódł go scenariusz Orciego i Kurtzmana, który pozwolił na reinterpretację świata **Star Treka**, przedstawienie go widzom niezaznajomionym z serią, a także i sprawienie niespodzianki starym wyjadaczom. Swoim entuzjazmem Abrams zaraził producentów i otrzymał wymarzone sto pięćdziesiąt milionów dolarów na zrobienie filmu z prawdziwego zdarzenia; nie krył, że wysokość budżetu była dla niego istotna, bowiem zawsze irytowały go ograniczenia finansowe serialu **Star Trek**, przez co wyglądał w jego oczach na nieznośną taniochę. Na realizację sequela otrzymał jeszcze większą kwotę. To gdzieś pomiędzy tymi filmami i kolejnymi odcinkami seriali Abrams nakręcił swoje bodaj najlepsze dotychczas dzieło, wspominane już **Super 8**, istny hołd oddany kinu Nowej Przygody, pozbawiony dekonstrukcyjnej pretensji i pełen młodzieńczego wigoru.

Abrams specjalizuje się więc w istnych powrotach do kraju lat dziecinnych – z pewnością Ethana Hunta pamiętał z telewizji, kątem oka podglądał **Star Trek** i chodził do kina na **Spielberga**, co odbija się wyraźnie na jego filmografii. Nie powinno więc dziwić, że po wykupieniu Lucasfilm przez koncern Disneya i ogłoszeniu planów realizacji nowej trylogii osadzonej w świecie **Gwiezdnych wojen** jego nazwisko było wymieniane jednym tchem z wieloma innymi potencjalnymi reżyserami. Sam Abrams szybko uciął wszelkie spekulacje mówiąc, że istotnie, nie może doczekać się zapowiedzianych filmów, ale obejrzy je jako widz. Trudno powiedzieć, ile było w tym kokieterii, ile owijania w bawełnę, a ile faktycznej nieświadomości tego, co miało się wkrótce stać. Chcąc nie chcąc, **kino jeszcze nowszej przygody** zyskało nową twarz.

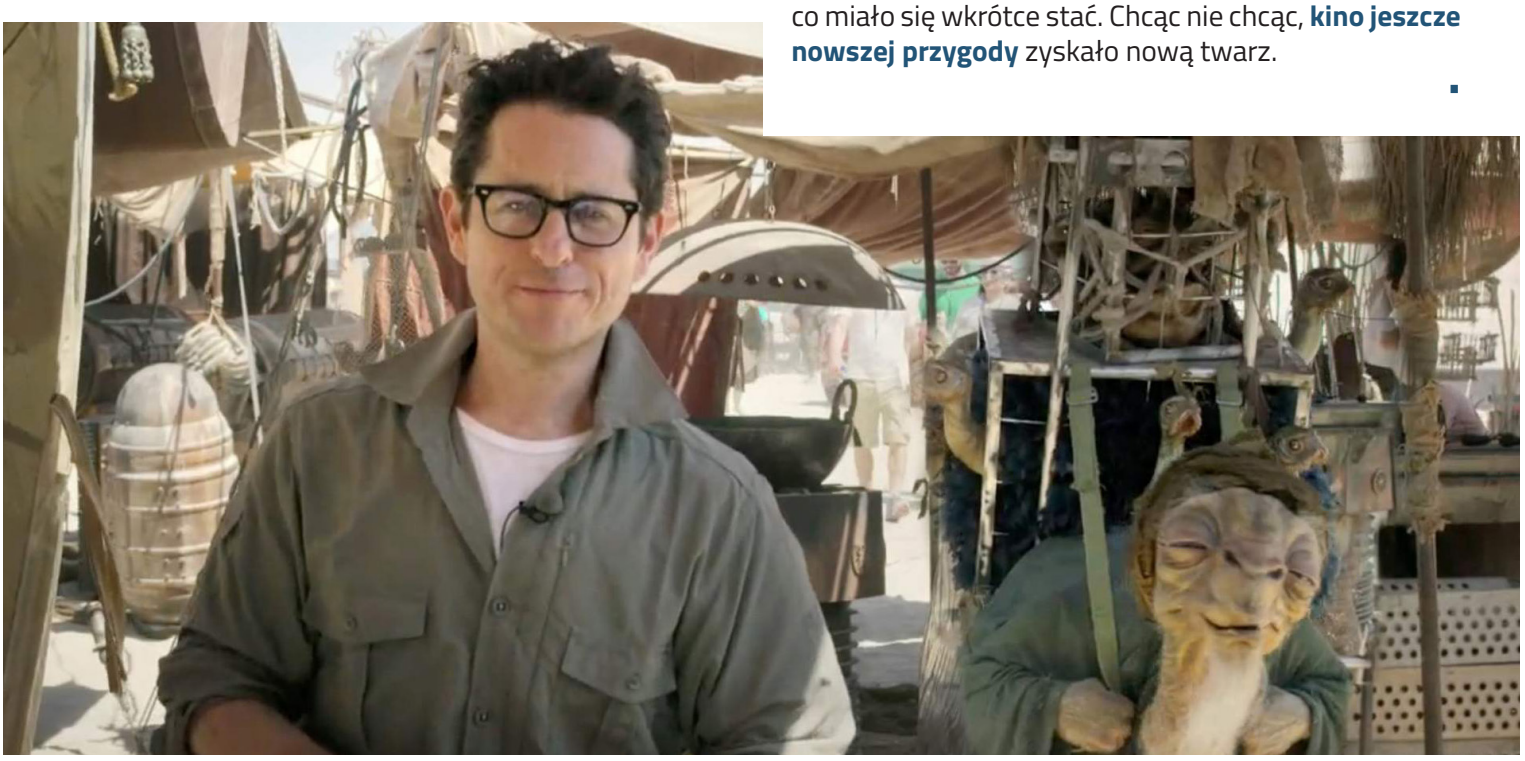

Szybcy i Wściekli

RODZINA

NIE WYBACZA,

RODZINA

NIE ZAPOMINA

tekst:
PIOTR PLUCIŃSKI

„Nie mam przyjaciół, mam rodzinę" - rzuca Dominic Toretto w jednej ze scen w ***Szybkich i wściekłych 7***. Rodzina, ta na ekranie i ta poza nim, jest kluczem do zrozumienia niesłabnącego fenomenu serii.

Reżyser Rob Cohen musi pluć sobie w brodę. Gdy w 2002, bredząc o zawodowych ambicjach, odrzucał propozycję nakręcenia kontynuacji ***Szybkich i wściekłych***, nie mógł wiedzieć, że półtorej dekady później jego wakacyjny hit o tuningowanych furach i ulicznych wyścigach rozrośnie się do siedmioczęściowej sagi z miliardowymi wpływami w box office, podczas gdy jemu samemu przyjdzie egzystować na peryferiach branży. „Podjąłbym się reżyserii kolejnej części" – powie w wywiadzie z 2011, dokonawszy ostatecznego rachunku zysków i strat. Ale o powrocie nie będzie już mowy. On sam powinien wiedzieć o tym najlepiej, w końcu to w jego filmie lojalność została ustanowiona ważnym motywem serii.

Sukces pierwszej części był duży i niespodziewany.

Przy niespełna 40 milionach dolarów budżetu, bez wielkich gwiazd, gwarantującego komercyjny sukces reżysera i szeroko zakrojonej promocji, wpływy ze światowej dystrybucji ***Szybkich i wściekłych*** wyniosły przeszło 200 milionów. Dla wytwórni Universal oznaczało to czysty zysk w postaci jednej trzeciej tej sumy, a dla wszystkich zaangażowanych w projekt – nagły skok popularności. I choć w kolejnych latach sukces serii będzie przypisywany rewizjonistycznej, wybuchowej wizji reżysera Justina Lina i scenarzysty Chrisa Morgana, którzy przejęli ***Szybkich...*** od części trzeciej, to za jej narodziny odpowiedzialny jest Cohen.

Pracując w 2000 roku na planie młodzieżowego thrillera ***Sekta***, reżyser zorientował się, że większe nadzieje wiąże z grającym drugoplanową rolę Paulem Walkerem, niż odtwórcą roli głównej, Joshuą Jacksonem. Jackson, wtedy wciąż utożsamiany z rolą mydłkowatego, pretensjonalnego Paceya z ***Jeziora marzeń***, nigdy nie dorósł do wyobrażeń Cohena o charyzmatycznym protagoniście. Ale na planie filmu coś się wydarzyło. Walker, grający przywódcę skorumpowanego bractwa studenckiego, kradł Jacksonowi każdą scenę, co sprowokowało Cohena do poczynienia drobnych zmian w scenariuszu, tak by w ostatnim akcie przedstawić jego postać w nieco korzystniejszym świetle. Dwudziestosiedmioletni wówczas Walker, niebieskooki blondyn o roześmianym, zalotnym spojrzeniu, czarującym, niewymuszonym uśmiechu i nieposkromionym głodzie świata, był podręcznikową definicją amerykańskiego złotego chłopca. Jako szwarccharakter okazał się niewiarygodny, co Cohen szybko zrozumiał. W finale ***Sekty*** bohater Walkera przeżywa więc nawrócenie, buntując się przeciwko opresyjnemu ojcu i po raz pierwszy zdobywając serce widowni.

Cohen i producent Neal Moritz postanowili kuć żelazo, póki gorące. Zapytali Walkera wprost: w czym chcesz zagrać? Ten długo się nie zastanawiał – marzył mu się miks ***Szybkiego jak błyskawica*** z ***Donniem Brasco***. Po latach powie, że nigdy nie traktował tego zestawienia całkiem poważnie, ale sam wybór mówi coś o jego ówczesnych aspiracjach: zapatrzony w Toma Cruise'a i Johnny'ego Deppa, chciał błyszczeć i imponować. Gdy jakiś czas później Cohen wrócił do niego z artykułem z magazynu „Vibe", poświęconym kulturze ulicznych wyścigów, i pierwszym zarysem scenariusza, Walker z marszu przyjął rolę Briana O'Connera, tajniaka infiltrującego samochodowe podziemie. „Byłem młody i żądny wrażeń" – powie w 2011 roku. „Gdybym dostał tę propozycję kilka lat później, pewnie długo bym się nad nią zastanawiał i nie wykorzystał związanej z tym szansy".

Mając Walkera, Cohen i Moritz nie potrafili wymusić na nim pewności siebie. Aktor – co sam przyzna dopiero po latach – wciąż zadręczał się myślą, że nie poradzi sobie z udźwignięciem filmu. Dotąd grał przecież postaci drugoplanowe. To wtedy pojawił się pomysł, by skonfrontować go z kimś silniejszym, dosłownie i w przenośni. Dominic Toretto, przywódca samochodowego gangu, z którym miała łączyć O'Connera silna więź emocjonalna, musiał mieć nie tylko charyzmę, ale i odpowiednią prezencję. Tak na horyzoncie pojawił się Vin Diesel – wygolony na łyso olbrzym o tubalnym, chropowatym głosie i łagodnym spojrzeniu. Ani Cohen, ani Walker, ani nawet sam Diesel wtedy jeszcze tego nie wiedzieli, ale to właśnie on miał w kolejnych latach wyznaczyć właściwy kierunek serii, przejmując rolę producenta podejmującego najważniejsze decyzje.

Tymczasem w 2001 niespodziewany sukces ***Szybkich i wściekłych*** tłumaczono modą na nielegalne wyścigi i tuningowanie aut. To tylko po części prawda, bo choć film w sposób jednoznaczny schlebiał kulturze streetracingu i wpisanej weń dresiarskiej mentalności, to prawdziwej gloryfikacji poddawał nie tyle potrzebę szybkości, co... instytucję rodziny. „Złamiesz jej serce, to złamię ci kark" – mówi w przełomowym momencie Toretto, gdy orientuje się, że Brian jest zainteresowany jego siostrą. Dom akceptuje w ten sposób przybysza z zewnątrz, a stawka momentalnie idzie w górę. Poczucie wspólnoty bez reszty pochłonie Briana i odtąd liczyć będzie się już nie powodzenie jego tajniackiej misji, a lojalność względem grupy, która przygarnęła go pod swoje skrzydła.

„Lojalność" i „rodzina" to w świecie Szybkich i wściekłych nierozłączne identyfikatory moralne, symbolizujące jedyne wartości, w obronie których niemal wszyscy bez wyjątku bohaterowie gotowi są do największego poświęcenia.

Paradoksalnie, podejmowane w związku z tym decyzje i akcje są często radykalne i poprzez wyniszczającą wymianę ciosów prowadzą do częściowego wytarcia wartości, których mają bronić. „Upokorzyłeś mnie przed całą rodziną!" – wrzeszczy do Toretto Johnny Tran, lider wrogiego gangu, będąc przekonanym, że niedawny nalot jednostki antyterrorystycznej zawdzięcza właśnie jemu. Obraża go, ten reaguje emocjonalnie – uderza Trana. Pośrednią tego konsekwencją będzie zdradziecki zamach na Toretto, w którym zginie Jesse (Chad Lindberg). Toretto nie pozostanie dłużny – śmierć członka rodziny musi zostać pomszczona.

Pomysł na historię o tajniaku ulegającemu fascynacji podziemiem, które miał infiltrować, nie należał do oryginalnych. Wiele wskazuje na to, że scenarzyści, a było ich aż trzech, splagiatowali poszczególne założenia ***Na fali*** (1991) Kathryn Bigelow, gdzie grany przez Keanu Reevesa agent FBI także penetrował dość specyficzne środowisko – surferów. Podobieństwa są uderzające: bohater zaprzyjaźnia się z szefem szajki (w tej roli Patrick Swayze) i romansuje z bliską mu kobietą, sport ekstremalny jest tam uzależniającym fetyszem, zaś jedność grupy – jedyną definiującą ją wartością. Bardzo podobna sytuacja miała też miejsce w nakręconej cztery lata wcześniej ***Ziemi poza prawem*** Petera Wernera. Tam D.B. Sweeney infiltrował Charliego Sheena, a tłem kolejnych wydarzeń był warsztat samochodowy. Co ciekawe, w obu tych filmach twórcy fetyszyzowali trudną relację pomiędzy bohaterami, świadomie czyniąc z niej coś na kształt dramatycznej, podszytej homoerotyzmem metafory. Nie bez powodu jedyną ucieczką przed zawiedzionym zaufaniem, zupełnie jak w zawodzie miłosnym, okazywała się tam ostateczna autodestrukcja.

Motyw wzajemnej męskiej fascynacji występuje także w ***Szybkich i wściekłych***, ale o jakiejkolwiek dwuznaczności nie może być mowy – Toretto w przeciwieństwie do swoich poprzedników ma dziewczynę, Letty (Michelle Rodriguez), a pojawienie się Briana wyzwala w nim przede wszystkim potrzebę braterstwa i samczą chęć rywalizacji. W przybyszu z zewnątrz Dominic dostrzega wszystko to, czego nie mają mężczyźni w jego grupie – inteligencję, wrażliwość oraz rozsądek. I choć do bycia jego najbliższym przyjacielem wyraźnie aspiruje Vince (Matt Schulze), to będąc nieskomplikowanym prostaczkiem z rozbuchanym ego, nie ma startu do lotnego Briana. Od razu dostrzega w nim zresztą zagrożenie – to raczej zazdrość, aniżeli intuicja, każe mu zakładać, że ten jest gliną. W konsekwencji uczyni go to postacią tragiczną. Odrzucony przez Dominica, swojej wartości dowiedzie dopiero w piątej części, kiedy odsądzony od czci i wiary przez Briana, umrze broniąc interesu grupy.

Gdy w finale pierwszej części Toretto odjeżdżał w stronę przysłowiowego zachodzącego słońca, nic nie wskazywało, że ta opowieść będzie miała jakąkolwiek kontynuację.

Puszczając Dominica wolno, Brian odkupywał swoje winy, a historia ich przyjaźni zyskiwała całkiem zgrabne – i już nie tak dramatyczne, jak w ***Ziemi poza prawem*** i ***Na fali*** – domknięcie. Owszem, furtka pozostawała wyraźnie uchylona, ale czy dalszy ciąg był możliwy? I w ogóle potrzebny? Cohen i Diesel uznali, że nie. Zabrali więc zabawki i ku niezadowoleniu studia uciekli do konkurencji, by nakręcić ***xXx*** – pseudo-szpiegowskie kino akcji z dużą ilością efektów specjalnych. Film odniósł olbrzy-

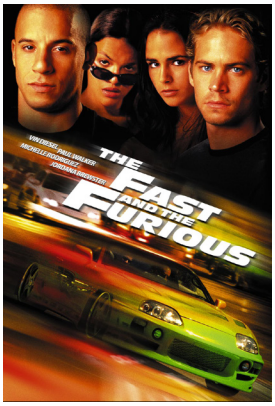

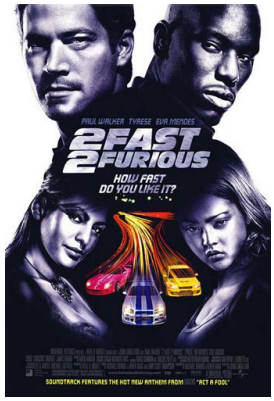

mi sukces, a wpływy z jego dystrybucji na świecie przekroczyły 270 milionów dolarów.

Tymczasem szefowie Universalu powierzyli nakręcenie sequela ***Szybkich...*** Johnowi Singletonowi. Obecność twórcy takiego jak on, łączącego klasyczny dorobek dramatyczny (***Chłopaki z sąsiedztwa***, 1991) z ciągotami w kierunku kina akcji (***Shaft***, 2000), miała rekompensować brak Cohena i Diesela. Ale Singleton nie poradził sobie w tej nowej, narzuconej mu estetyce. Swój udział potraktował jak niechciane zlecenie – w jego wersji samochody były po prostu szybsze i bardziej jaskrawe, słońce mocniej grzało, a kobiety nosiły większe dekolty i krótsze spódniczki. I choć niewątpliwym jego wkładem w obecny kształt serii było powierzenie roli Romana, przyjaciela Briana z dzieciństwa, błaznującemu Tyrese'owi Gibsonowi, to konflikt, na jakim opierała się tam ich relacja, okazał się mało wiarygodny. Problemem było też to, że przy całej swojej charyzmie Gibson nie mógł równać się z Dieselem. W tej relacji to Brian przejmuje stery, a nie mając kontrapunktu w postaci Toretto, jest bohaterem zwyczajnie nieciekawym.

Film Singletona jest jedynym w całej serii, w którym motyw rodziny nie występuje. Brak tej płaszczyzny jest łatwo odczuwalny, bo zastępować ją mają rozliczne, ciężkostrawne szablony kina sensacyjnego. Główny antagonista (Cole Hauser) jest więc bogatym pajacem z zamiłowaniem do sadyzmu, obiekt pożądania Briana (Eva Mendes) – niedorzecznie atrakcyjną tajniaczką o błyszczącej, śniadej cerze, długich nogach i wydatnych ustach, a w finale Brian i Roman lądują samochodem na pokładzie uciekającego jachtu. I choć kierunek wydawał się właściwy, to kicz i przerysowanie jako estetyka sprawdzą się dopiero w piątym odcinku, wraz z pojawieniem się Dwayne'a Johnsona i dociśnięciem pedału gazu do samej dechy. Tutaj, jeszcze bez wpisanej w to samoświadomości, samochodowa opera mydlana Singletona zahaczała o śmieszność.

Wyniki finansowe sequela były średnio zadowalające. Recenzje – miażdżące. Stopniał też entuzjazm Paula Walkera, który o udziale w kolejnej części nie chciał już słyszeć. Decydując się na jej realizację, studio rozważało różne opcje. Jedną z nich był rynek DVD. Ale pokusa zarobienia dużych pieniędzy okazała się większa, postanowiono więc, że film powstanie z myślą o premierze kinowej. Brak gwiazd poprzednich odsłon miały rekompensować walory produkcyjne: akcję przeniesiono do Japonii, a na potrzeby najbardziej popisowej sceny zbudowano plan... słynnego tokijskiego skrzyżowania Shibuya. Po podliczeniu budżetu niewiele zostało na gaże dla twórców

i obsady, sięgnięto więc po nieznane nazwiska: w roli głównej wystąpić miał Lucas Black, zaś za kamerą stanąć Justin Lin. To dwie sprzeczne ze sobą decyzje, które przesądziły o losach tak tego odcinka, jak i całej serii.

Pierwsza nie należała do najlepszych. Black, ze swoją fizjonomią i akcentem teksańskiego osiłka, wypadł tak fatalnie, że gdy dekadę później przyjdzie mu powtórzyć swą rolę w króciutkim epizodzie w siódmej części, nikt nie będzie chciał go oglądać dłużej niż przez kilkadziesiąt sekund. Ale już decyzja druga okazała się strzałem w dziesiątkę, choć wtedy nikt jeszcze nie mógł tego wiedzieć. Lin, młody i zdolny twórca kina spod znaku indie (***Better Luck Tomorrow***, 2001), został wytypowany na reżysera trzeciej części w sposób najgorszy z możliwych – ktoś w Universalu uznał, że skoro Lin jest Tajwańczykiem, to... na reżysera filmu rozgrywającego się w Tokio nada się idealnie. Nie pokładano w nim wielkich nadziei. Miał jedynie odgrzać kotleta, którego wcześniej przygotowali inni.

Stało się inaczej. Ściśle współpracując z zatrudnionym przez studio scenarzystą Chrisem Morganem, Lin zaproponował kilka rozwiązań, których w pierwotnej wersji fabuły nie było. Wiedział, jak ważnym elementem oryginału z 2001 był motyw rodziny, dlatego w swoim filmie świadomie położył nacisk na rozłam pomiędzy przybywającym do Tokio synem (Black) i jego ojcem-wojskowym, dając temu pierwszemu – podobnie jak to było w części pierwszej – rodzinę zastępczą pod postacią środowiska lokalnych streetracerów. Motyw familijnych więzów pojawia się także po drugiej stronie barykady i jest pewną parafrazą konfliktu na linii Toretto-Tran: Takashi (Brian Tee) zostaje ośmieszony w oczach swojego wuja – szefa jakuzy, za co pragnie zemsty.

Film nie zawojował ekranów. Przy 85 milionach budżetu wpływy ze sprzedaży biletów na świecie wyniosły „tylko" 158, co po odjęciu zysków kin oznacza, że Universal wyszedł na tym projekcie na zero. Przynajmniej jeśli chodzi o dystrybucję kinową. Ale gdy w Universalu zaczęto przebąkiwać, że ewentualne kolejne części powinny być realizowane po kosztach, wyłącznie z myślą o rynku DVD, Neal Moritz przekonywał, że w serii wciąż drzemie silny, niewykorzystany potencjał.

Miał jeden mocny argument: w części trzeciej w drobnym epizodzie pojawił się Vin Diesel. Aktorowi zależało na pozyskaniu praw do serii o przygodach Riddicka – postaci, z którą łączył go spory sentyment. Po kiepskich wynikach ***Kronik Riddicka*** z 2004 szefom Universalu przestało zależeć na marce, ustalono więc, że Diesel dostanie prawa, jeśli zgodzi się na epizod w trzecich ***Szybkich i wściekłych***. Moritz znał sytuację finansową Diesela i wiedział, że odzyskanie praw do marki to dopiero pierwszy krok na drodze do realizacji nowego filmu o Riddicku. Kolejnym będzie pozyskanie odpowiedniego budżetu. ***Diesel dostał więc propozycję nie do odrzucenia*** – studio nie tylko zaoferowało mu gażę za występ w kolejnej części

▪ To NIE jest zdjęcie z gry *Uncharted*.

Szybkich..., ale też zgodziło się powierzyć mu rolę producenta. Wpływy z realizacji pozwoliłyby mu na domknięcie trylogii o Riddicku, zgodził się więc bez wahania.

Odtąd aktor będzie kontrolował liczne aspekty serii i podejmie wiele kluczowych dlań decyzji – także obsadowych. Mający ambicje reżyserskie i scenopisarskie Diesel wiedział, jak ważne dla twórcy jest poczucie wspólnoty na planie. Przekonał więc studio, by dać Linowi i Morganowi drugą szansę i pozwolić im odbudować potencjał serii. Sam namówił na powrót Walkera, Michelle Rodriguez i Jordanę Brewster. Wsparł też pomysł Lina, by w czwartej części powrócił Han (Sung Kang), który ginął przecież w *Tokio Drift*.

To właśnie Diesel uformował filmową rodzinę, która przez lata pracować będzie na planie kolejnych części serii. Wtedy, w 2009, na ekranie nie było tego jeszcze widać, ale poza nim dokonała się ważna, podwójna zmiana – na planie uformował się autorski, przyjacielski kolektyw, a stricte komercyjne myślenie Universalu zostało przełamane. Deal był prosty: jeśli czwarty film się sprzeda, Diesel, Lin i Morgan dostaną zielone światło, by poprowadzić serię w dowolnym kierunku. Udało się – trochę rozklekotany i przeterminowany, jeszcze z niewłaściwym wiatrem w żaglach, powrót ***Szybkich...*** zyskał przychylność fanów i otworzył przed Dieselem i spółką drogę do części piątej.

Zaczęło się od spotkania z szefostwem studia, w trakcie którego padła sugestia, że samochodowa formuła serii w sporej części już się wyczerpała. Co do tego wszyscy byli zgodni: zobowiązanie wynikające z tematycznej integralności ograniczało manewry fabularne i wzmagało poczucie infantylizmu. Dlaczego więc nie przebranżowić się? Cel, jaki postawił sobie Justin Lin, wydawał się karkołomny. Jeszcze w 2010 mówił: „w następnej części skierujemy się w stronę współczesnych klasyków o wielkich skokach – ***Włoskiej roboty*** czy ***Ocean's Eleven***". Oliwy do ognia dolewał do Diesel: „Chcemy przywrócić serii motyw rodziny jako napędzającej siły". Jakby tego było mało, do obsady miał dołączyć Dwayne Johnson. Jego kandydaturę na odtwórcę roli agenta Hobbsa wysunął sam Diesel po sugestii jednego z fanów.

Ta decyzja miała swój ukryty sens. Johnson, podobnie jak Diesel, jest wielkim tradycjonalistą i piewcą konserwatywnych wartości. Dzisiaj rzadko się o tym pamięta, ale wielką popularność na ekranie przyniosły mu nie filmy akcji, a kino familijne spod znaku Disneya – ***Plan gry***, ***Góra czarownic*** czy ***Dobra wróżka***. A jednocześnie był tym potężnym, onieśmielającym wrestlerem, który wywodząc się ze skrajnej biedoty, na ringu sięgnął po absolut. Publiczność go kochała, bo był idealnym ucieleśnieniem amerykańskiego snu – symbolem sukcesu, ale też świadomości i pokory względem swoich korzeni.

Jego Hobbs jest kluczową postacią piątych ***Szybkich i wściekłych***, pełniących rolę gatunkowej tranzycji. Johnson dźwiga na swoich barkach najważniejsze motywy tego odcinka – odpowiedzialność, lojalność i szacunek. Gdy go poznajemy, jest rządowym łowcą głów oddelegowanym do schwytania Toretto i jego ekipy. Ale konfrontując się z nimi, jako dowódca ceniący sobie strukturę oraz oddanie, docenia ich system wartości i zaczyna akceptować towarzyszącą im motywację. Ze swoim oddziałem komandosów Hobbs tworzy zresztą bardzo podobną grupę, z tą różnicą, że po przeciwnej stronie barykady. Dlatego, gdy członkowie jego oddziału giną w zasadzce, Hobbs jednoczy siły z Toretto.

Motyw nierozerwalnych więzi jest silnie zarysowany na drugim planie tego odcinka. Brian i Mia spodziewają się dziecka, za współpracującą z Hobbsem policjantką Eleną (Elsa Pataky) ciągnie się wspomnienie zabitego na służbie męża, podobnie zresztą jak śmierć Letty nawiedza ciągle Toretto. Han poznaje kobietę swojego życia, choć z wydarzeń z ***Tokio Drift*** wiemy już, że będzie to miłość bez happy endu. Wspomniany wcześniej Vince umiera, pragnąc dowieść swojej wartości. ***Szybcy i wściekli 5*** to najbardziej ponura część w całej serii – bohaterowie żyją w cieniu swojej przeszłości i/lub pułapce przyszłości, w nieustannej pogoni, oderwani od korzeni, niespokojni, prześladowani przez fatum.

W tej atmosferze utrzymane będą także kolejne odcinki, z intrygą skonstruowaną na zasadzie ciągu niegodziwych kostek domina. Gdy w siódmej odsłonie do akcji wkracza Deckard Shaw (Jason Statham), kieruje nim chęć pomszczenia brata Owena (Luke Evans), który z kolei w poprzednim odcinku okazał się protegowanym Bragi (John Ortiz), przywódcy kryminalnego imperium, wtrąconego przez Briana do więzienia w części czwartej. ***Zemsta za krzywdę poczynioną bliskiej osobie pozostaje więc usprawiedliwionym moralnie motywem przewodnim serii, niezależnie od tego, kto chce jej dokonać.*** I jakie zgliszcza zostawi po sobie. Bo choć bandyckie występki ludzi pokroju Bragi czy braci Owenów natychmiast oddzielają ich od pozytywnych bohaterów, to poczynania Toretto i jego ekipy, w każdej swych przygód siejących śmierć i zniszczenie, traktowane są na zasadzie podwójnego standardu. Wszystko ujdzie im na sucho, pod warunkiem, że działają w imię „słusznej sprawy". Dość powiedzieć, że w części piątej z rąk O'Connera, Toretto i Hobbsa ginie... pięćdziesiąt osób, a pośród nich wielu brazylijskich policjantów, których skorumpowania możemy tylko domniemywać.

Tym, co wyraźnie odróżnia Toretto i spółkę od bandziorów, z którymi walczą, jest więc tylko silny kręgosłup moralny. W ich grupie nie ma miejsca na zdradę, za to raz poczyniona obietnica musi zostać dotrzymana. Rodzina nigdy nie zapomina – gdy w piątej części grupie udaje się ukraść pieniądze szefowi kartelu Reyesowi (Joaquim de Almeida), z ostatniej sceny dowiadujemy się, że spora ich część trafiła do rodziny poległego Vince'a.

W 2013 roku, gdy Paul Walker roztrzaskał się w swoim porsche, rzeczywistość przeniknęła się z filmową fikcją w wyjątkowo drastyczny sposób. Paradoksalnie, to właśnie wtedy legenda ***Szybkich i wściekłych*** została ostatecznie scementowana. Autentyczne, poruszające reakcje Tyrese'a Gibsona i Vina Diesela na wieść o śmierci „przyjaciela", „brata" i „członka rodziny" dowiodą, że w tym filmowym wizerunku nie było żadnej ściemy – oni naprawdę tworzyli rodzinę, a cała ta ekranowa chemia wynikała z prawdziwej bliskości. Sukces siódmej części nie powinien dziwić. Jeśli dotąd kogoś nie skusiła wysokooktanowa, sprowadzona do absurdu akcja, to już niemal każdy chciał znać odpowiedź na pytanie, jak twórcy filmu poradzili sobie z odejściem bliskiej osoby. James Wan, który przejął w tej części fotel reżyserski po chcącym skoncentrować się na innych projektach Linie, miał przed sobą nie lada wyzwanie. „Zapomnijcie o dotychczasowej fabule, zapomnijcie o wszystkim" - mówił w grudniu 2013. „Od teraz nie robimy tego filmu dla siebie. Robimy go dla Paula".

Śmierć Walkera przysporzyła ekipie Wana wielu problemów. Widać to na ekranie. Fabule parokrotnie brakuje spójności, niektóre wątki wydają się niekompletne i pourywane, poszczególne ujęcia (te z dublerami Walkera) są wysilone, a sceny realizowane nocą rażą sztucznością. Także efekty CGI, za pomocą których w kilku miejscach odtworzono twarz Walkera, nie zawsze stoją na najwyższym poziomie. Łatwo jednak przymknąć na to oko, bo ze swojego najważniejszego zadania – pożegnania Walkera – twórcy wywiązują się na medal. Jeśli dotąd nie było to wystarczająco czytelne, parominutowy epilog mówi to wprost: ***RODZINA NIGDY NIE ZAPOMINA***.

Dylan Dog: Golkonda; Piąta pora roku
wyd: BUM Projekt

Dylan Dog , z pomocą stosunkowo nowego wydawnictwa, powraca po dłuższej nieobecności na rynku. Trzymając się stylu ostatnich wydań z Egmontu, nowy album prezentuje dwie (delikatnie połączone ze sobą) historie z bogatej i ciągle powiększającej się listy przygód detektywa mroku. Komiks zręcznie łączy ze sobą klimat komedii z paranormalnym horrorem i w zasadzie daje czytelnikowi dokładnie to, czego mógł oczekiwać po serii - wyborną lekturę. Brody jak najbardziej polecają i czekają na jakiekolwiek informacje o przyszłości Dylana na polskim rynku.

RS

Ocena:

Zrozumieć komiks
wyd. Kultura Gniewu

Jeśli możecie kupić w tym roku tylko jeden komiks, upewnijcie się, że będzie nim właśnie album Scotta McClouda. Fenomenalna pozycja z 1993 roku, która do dziś w ogóle się nie zestarzała. Autor w zjawiskowy sposób podaje nam naukowy wywód w formie komiksu – wykorzystując medium rozkłada jego uwarunkowania i zasady na czynniki pierwsze, robiąc to wszystko w czasie energetycznego i szalenie inteligentnego biegu po kadrach. **Całość czyta się jednym tchem** i naprawdę pomaga ona „zrozumieć" komiks. Wielkie dzieło, które po prostu każdy powinien posiadać, przeczytać i wracać do niego co jakiś czas. Nigdy nie przestanie mnie zadziwiać erudycja i miłość McClouda do kolorowych zeszytów, a także sposób przekazywania wiedzy pozbawiony akademickiej próżności. Plus: **brawa dla Michała Błażejczyka**, który świetnie poradził sobie z przekładem tak złożonego tekstu.

RP

Ocena:

Giacomo Supernova 1 i 2
wyd. Gindie

Rozpasany kosmiczny bękart, **największy kochanek w galaktyce** i nieślubne dziecko scenarzysty Jerzego Łanuszewskiego oraz rysownika Roberta Jacha, wziął mnie z zaskoczenia (jak wszystko, co się rusza), po czym zabrał w specyficzną podróż po czwartym tysiącleciu. Ciężko dzisiaj spotkać tak bezpruderyjne opowieści, a autorzy zapewniają szybką i brudną zabawę – w duchu kultowych **Zardoza** i **Barbarelli**. Jeśli w pierwszym akcie pojawia się tutaj penis, to możemy być pewni, iż wystrzeli w drugim i trzecim. Trzeba pamiętać, że czasami komiks o kosmicznym żigolaku grzmocącym pół kosmosu jest po prostu komiksem o kosmicznym żigolaku grzmocącym pół kosmosu. I za to Jurkowi dziękuję, bo finalny produkt jest uroczą oraz maksymalnie świńską fanaberią, która ma swoje miejsce na nieboskłonie **polskiego komiksu ruchanego** (bo już nie erotycznego).

RP

Ocena:

Przypadek Pana Marka
wyd. Timof Comics

Tytułowy **Pan Marek** to spokojny i chorobliwie nieśmiały osiedlowy dozorca, którego społeczne wycofanie oraz brak sprzeciwu względem każdej prośby wtrącają w tryby administracyjno-politycznej machiny, upupiającej niepozornego everymana w iście gombrowiczowskim stylu. **Jan Mazur** z precyzją wydłuża kolejne sceny szablonowej egzystencji głównego bohatera i spuszcza na niego skumulowane zadania, a zaszczuty obywatel po prostu się na nie godzi. Opowieść pełna **czarnego humoru i nihilizmu**, która z gracją obnaża osiedlową codzienność wielu Polaków. Bo przecież Panów „Przynieś, Podnieś, Pozamiataj" Marków są tysiące. Warto znać i wspierać tak oryginalne inicjatywy.

RP

Ocena:

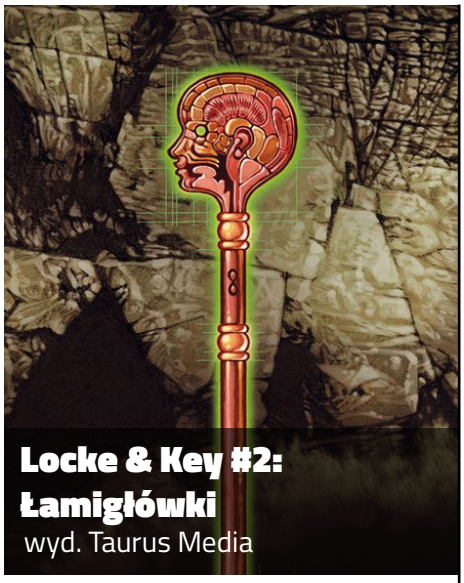

Locke & Key #2: Łamigłówki
wyd. Taurus Media

Jest środek nocy, trzeba rano wstać, ale z szafki kusząco zerka na was drugi tom nowej serii. Pierwszy bardzo was zaintrygował i chcielibyście poznać dalsze losy bohaterów, lecz obawiacie się, że ciężko będzie utrzymać tak wysoki poziom, więc szykujecie się na rozczarowanie. Jednak kiedy sięgacie po album, zostajecie wessani do tego świata już na pierwszej stronie i adrenalina nie pozwala wam odłożyć tomu do czasu przerzucenia ostatniej kartki. Znacie to uczucie? Ja znam, bo **z niesamowitą przyjemnością** poznałem dalsze losy rodziny Locke'ów.

Joe Hill (którego niekomiksowa gawiedź może kojarzyć jako „Tego typa co napisał tę książkę, co to ją zaadaptowali na ten film, gdzie Harry Potter miał **rogi**") odsłania kolejne karty swojej mrocznej układanki, otwiera przed nami coraz to nowsze drzwi i prezentuje następne zakamarki stworzonego przez siebie świata. A ja przebieram nogami – zanurzając się w każdym detalu oraz zwrocie akcji – i wyczekuję kolejnych tomów. Bo ***Locke & Key*** jest nie tylko świetnym dreszczowcem – to **jedna z najlepszych serii obecnych na naszym rynku.** Warto czekać na kolejne tomy.

RS

Ocena:

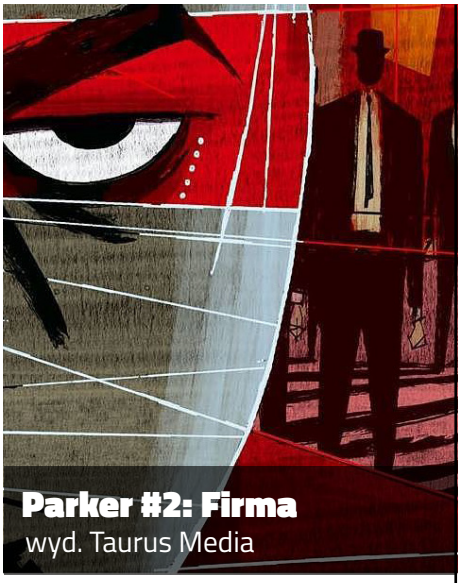

Parker #2: Firma
wyd. Taurus Media

W poprzednim tomie tytułowy zimny drań i przestępca-pracoholik za wszelką cenę chciał dokonać zemsty na współpracownikach, którzy prawie wysłali go do piachu. Śmiertelne kalkulacje okazały się udane i **Parker** bez mrugnięcia okiem posprzątał śmieci, które zabrudziły jego przestępcze życie, a dodatkowo chwycił za gardło mackowate imperium. Teraz – po zmianie twarzy – bohater znowu bierze w łapy swój bandycki fach. Niestety, tajemnicza **Firma** nie wzięła sobie do serca jego gróźb i postanowiła go załatwić. Z tego powodu zbir postanawia skrzyknąć innych profesjonalistów, pragnących dorobić się na upadku zorganizowanego giganta, i uderzyć w przeciwnika z wielu stron. Zaczyna się skomplikowana zabawa w kotka i myszkę, a karty rozdaje pozbawiony jakichkolwiek skrupułów Parker.

Darwyn Cooke przekuwa na komiks kolejne świetne opowieści Donalda E. Westlake'a. Dostajemy klasyczny kryminał zanurzony w klimacie **noir**, gdzie każdy jest gnojkiem i kłamcą, a największy krętacz ostatecznie odchodzi z pokaźną sumą na koncie i marynarką pozbawioną dziur po kulach. Scenarzysta perfekcyjnie rozpisuje historię, czasami całkowicie rezygnując z dialogów na rzecz wizualnej kanonady. Najwyższa półka z kryminałami i wielki antybohater, który dostaje ponowną szansę, żeby zawłaszczyć dla siebie kawałek świata.

RP

Ocena:

Żywe trupy #22: Nowy początek
wyd. Taurus Media

Po ponad **stu dwudziestu** numerach oraz fascynującym, rozbuchanym do granic możliwości starciu z diabolicznym **Neganem**, Kirkman uspokaja trochę akcję i umożliwia wejście na komiksowy pokład nowym czytelnikom oraz fanom serialu, którzy dostają rewelacyjną alternatywę dla telewizyjnych wydarzeń (do tego zdecydowanie lepszą oraz nieograniczoną zasadami szklanego ekranu). Scenarzysta rzuca znane nam postacie kilka lat do przodu, a Rick w końcu może na chwilę odetchnąć, ponieważ udało mu się stworzyć funkcjonującą społeczność, która pozwala bohaterom – po raz pierwszy od startu serii – na (przynajmniej pozornie) normalne życie. W tym momencie jednak twórca serwuje czytelnikom przepyszną woltę fabularną, ponieważ pod strzechy nowej utopii trafia grupa nieznanych wcześniej bohaterów. Role się odwracają i tym razem ludzie Ricka stają się tymi „tajemniczymi obcymi", mogącymi mieć złe zamiary, a nowy kolektyw powolnie bada tajemnice sielankowej mieściny. Sprawy komplikują się jeszcze bardziej, gdy wychodzi na jaw, że Grimes trzyma w piwnicy grzechy przeszłości, a zombie nie dają o sobie zapomnieć. **Świetny punkt wyjścia dla nowej ery *Żywych trupów***, które dostają solidny zastrzyk adrenaliny i nadal potrafią pochwycić czytelnika swoją melodramatyczno-horrorową otoczką. Warto właśnie teraz rzucić się w fatalistyczną wyobraźnię Kirkmana.

RP

Ocena:

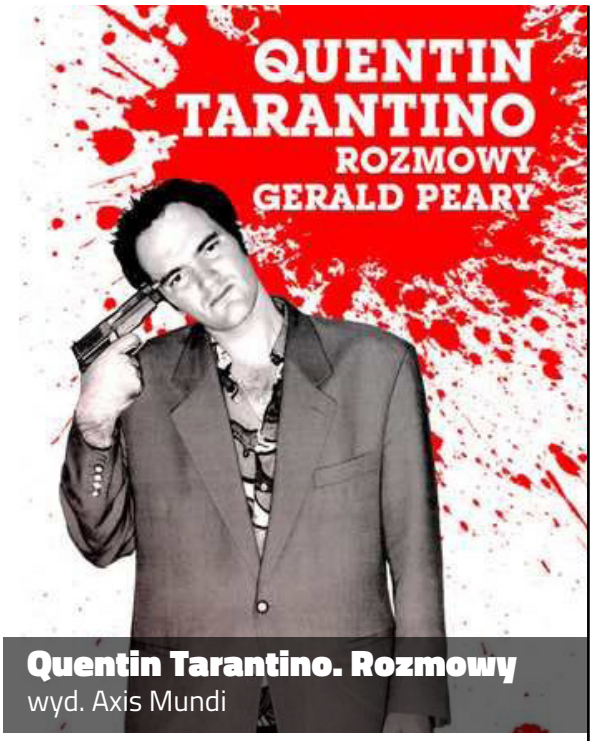

Quentin Tarantino. Rozmowy
wyd. Axis Mundi

Jedna z **najważniejszych** filmoznawczych premier zeszłego roku, z którą powinni zapoznać się wszyscy fani dziesiątej muzy. Kinowe kompetencje Tarantino robią z niego prawdziwego lewiatana medium i każda rozmowa z nim zamienia się w fascynującą wiwisekcję historii filmu – najczęściej jego piwnicznej, b-klasowej części, która jednak zawiera w sobie gargantuiczne pokłady symboli, znaczeń i historycznych uwarunkowań. **Quentin to urodzony bajarz**, a zestawienie ze sobą rozmów z całej kariery – w chronologicznym ciągu – świetnie unaocznia to, jak zmieniało się podejście twórcy do konstruowania filmów, zabawy kinem gatunków i współpracy z aktorami. Jedyną stałą cały czas jednak pozostaje jego nieskończona miłość do medium, a kolejne dygresje schodzą na temat na przykład spaghetti westernów, blaxploitation, francuskich nowofalowców czy azjatyckiego kina kopanego (apogeum jest wywiad w po premierze **Kill Billa**, który zamienia się w szaloną podróż po odniesieniach i nawiązaniach). Wielka lektura, bo opowiedziana przez człowieka, który wyszarpał sobie drogę na szczyt za pomocą własnego uporu, wiedzy wyniesionej z wypożyczalni wideo i chorobliwej fascynacji względem kina, obok którego inni przechodzą najczęściej obojętnie. Jeśli kochacie filmy, to powinniście jak najszybciej złapać za tę książkę i uprawiać z nią czysta, mentalną miłość.

RP

Ocena: ■ ■ ■ ■ ■ ■

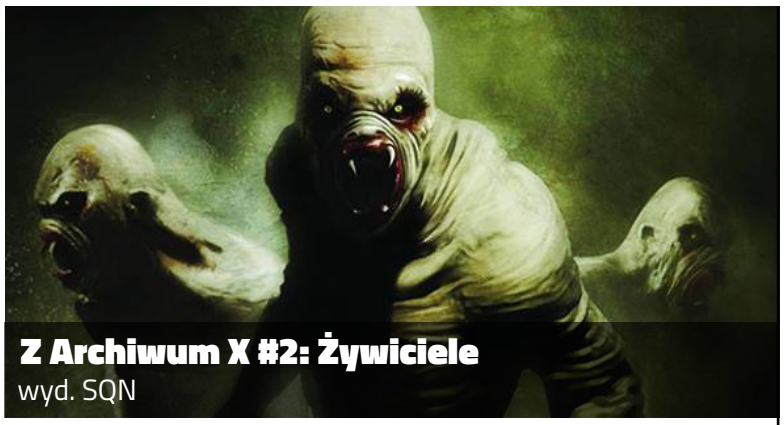

Z Archiwum X #2: Żywiciele
wyd. SQN

Fani „Z Archiwum X" dzielą się przeważnie na **dwie kategorie**: tych, którzy uwielbiali odcinki mitologiczne – rozwijające główną oś fabularną i opowiadające o spisku rządu, a także małych ~~zielonych~~ szarych ludzikach – oraz tych, dla których liczyły się jedynie zamknięte, jednoodcinkowe opowieści o potworach. Komiksowy sezon 10 stara się iść tą samą drogą co serial i dostarczyć każdemu po kawałku ich ulubionego elementu. Po rewelacyjnym mitologicznym tomie pierwszym tym razem dostajemy zbiór krótszych historyjek o dość różnym poziomie. Od **świetnego** powrotu Flukemanów do dość **nijakiego** wątku zmartwychwstania byłego informatora Muldera. Całość czyta się **bardzo przyjemnie,** a nowe wątki wciągają i intrygują. Martwi mnie jednak wizja nadchodzącego coraz szybciej nowego sezonu telewizyjnego, który zapewne zaneguje przedstawione na komiksowych kartach wydarzenia, by przedstawić swoją wersję przyszłości najsłynniejszych agentów FBI.

RS

Ocena: ■ ■ ■ ■ ■ ■

Niesłychane losy Ivana Kotowicza
wyd. Kultura Gniewu

Lubię komiksy rozrywkowe, które starają się przedstawić nam coś nowego, a nie są po prostu kolejną nieudolną kalką amerykańskich zeszytów o superherosach, które ostatnio wręcz zalewają nasze sklepy komiksowe. **Ivan Kotowicz jest fajnym komiksem**. Bardzo ciekawie przemyślanym, z oryginalnie zarysowanym światem i niezłymi (ze strony na stronę coraz lepszymi) rysunkami. Moim jedynym zastrzeżeniem do całości jest tylko końcówka – a dokładniej jej brak., bo **Niesłychane losy...** są zaledwie prologiem do większej opowieści. Trzymam mocno kciuki za Kusinę i Ambrzykowskiego, by im z tego wyszła porządna i regularna seria, ale po latach rozczarowań brakiem tomów drugich w polskich sklepach na widok hasła „ciąg dalszy nastąpi" pozostaje mi jedynie westchnąć.

RS

Ocena: ■ ■ ■ ■ ■ ■

Kung Fury

reż. David Sandberg

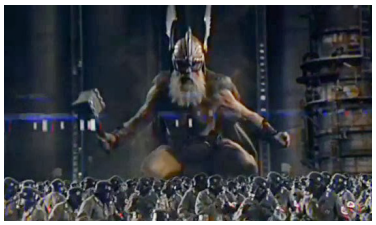

Niby **wesoła laurka** dla rubasznego kina lat 80, jednak ostatecznie trochę **przekłamana.** Hakowanie czasu jest fantastyczne, ale a) ta dekada nie była tak łopatologicznie samoświadoma - wtedy zawsze robiono poważne i ambitne kino. Wszystko było ekstremalne oraz szczere, a nie zeżarte przez postmodernizm; b) dinozaury to wymysł lat 90 – wcześniej mieliśmy potężnych chłopów, którzy tłukli kosmitów, baronów narkotykowych i komuchów; c) za dużo CGI, a przecież taki pastisz powinien nurkować w gumie, kartonach i animatronice. Jest **uroczo**, ale mogło być lepiej.

RP

Ocena:

Avengers: Czas Ultrona

reż. Joss Whedon

Nie ma już efektu „wow", ponieważ poprzednia część i prężnie rozwijające się uniwersum przyzwyczaiło nas do sporej liczby zastosowanych tutaj (a także już trochę zbyt wyświechtanych) rozwiązań, ale nadal mamy do czynienia z **niegłupim oraz świetnie zaprojektowanym widowiskiem**, które naprawdę udanie łączy hordę różnorodnych indywiduów w spójny kolektyw – oczywiście wadliwy, ale dzięki temu jeszcze mocniej trzymamy za niego kciuki. Reżyser naprawia **kilka wpadek** z poprzedniej odsłony (Hawkeye), umiejętnie wprowadza tabun nowych postaci i potrafi utrzymać w ryzach wyrywające się na żer nowe fragmenty uniwersum. Ameryki nikt tutaj nie odkrywa, ale trykociarskie tryby pracują na **najwyższych** obrotach.

RP

Ocena:

Mad Max: Na drodze gniewu

reż. George Miller

Ten film nie miał prawa być dobry – czwarta część serii, w której tylko jeden film był naprawdę niezły; brak Mela Gibsona, definiującego tytułową postać; skostnienie warsztatu reżysera, który od czasu dosyć średniej *Kopuły gromu* zrobił wyłącznie parę animacji dla dzieciaków. Obserwując jeszcze zakulisowe problemy, dokrętki i przesunięcia premiery, wszyscy oczekiwali ogromnej wtopy. Tymczasem otrzymaliśmy **napędzany czystą adrenaliną film akcji**, bezdyskusyjnie deklasujący wszystkich swoich tegorocznych konkurentów. I chociaż Tom Hardy nie jest idealnym zastępstwem za młodego Mela Gibsona (takiego sprzed czasów antysemickich wybryków), to całość nadrabia fantastyczną historią oraz świetną Imperator Furiosą w którą wcieliła się **brawurowo Charlize Theron**. Siedzenie teraz w domu i czytanie recenzji zamiast zajadania popcornu w kinie, to po prostu życiowy błąd. Zrób sobie prezent. **Idź na nowego Mad Maksa.**

RS Ocena:

Whiplash

reż. Damien Chazelle

Reżyser musiał komuś koncertowo spieprzyć życie, żeby w filmie utrzymać takie napięcie. Historia odwiecznego starcia naturalnego talentu z morderczym dążeniem do perfekcjonizmu, podporządkowana zabójczemu rytmowi perkusji i jazzowych kawałków. **Uczta dla uszu** oraz bolesne doświadczenie dla oczu, gdy obserwuje się katorżnicze zmagania Milesa Tellera z miłosno-nienawistym związkiem z muzyką. Dodatkowo **J.K. Simmons**, grający tutaj diabolicznego nauczyciela, umocnił się – po roli nazisty z ***Oz*** i J.J. Jamesona w trylogii ***Spider-Mana*** – na pozycji sennego koszmaru widzów.

RP Ocena:

Szybcy i wściekli 7

reż. James Wan

Bombastyczne **zakończenie wielkiej trylogii** (bo seria rozpoczęła się tak naprawdę od piątej części) i emocjonujące pożegnanie z Paulem Walkerem. Akcja jest tutaj wybitnie **kuriozalna**, tempo diabelnie **podkręcone**, ale Wan do końca nie zapomina, że za hektolitrami benzyny i połyskującego lakieru znajduje się **wysokooktanowa opowieść o przyjaźni**, rodzinie oraz poświęceniu. W sam raz do popcornu.

RP Ocena:

Jupiter: Intronizacja

reż. Andy Wachowski, Lana Wachowski

Channing Tatum gra tutaj **wilczo-ludzką hybrydę**, genetycznie zmodyfikowaną przez wojsko, która jest dodatkowo wykluczonym ze swojego stada pół-albinosem. Ma też doczepiane techno-skrzydła i latające buty. Brakuje mu tylko nosa klauna i dyplomu **Akademii Pana Kleksa**, żeby być **WSZYSTKIM**. Sam film to kolosalna zgrywa z sci-fi, będąca jednocześnie absolutnym przedstawicielem gatunku (do każdego dialogu dodawajcie sobie linijkę „in space") i uroczo-pokracznym dowodem na to, że Wachowscy talentu tak naprawdę nie mieli **nigdy**, a ich sukces opiera się wyłącznie na efektach specjalnych oraz czasie premiery **Matrixa** (który z roku na rok traci coraz więcej). Lubię Tatuma, ale Mila Kunis nadal potwierdza, że jej największym osiągnięciem jest udana ucieczka z tartaku.

RP

Ocena: ■ ■ ■ ■ ■ ■

Foxcatcher

reż. Bennett Miller

Duszna i fatalistyczna wiwisekcja ludzkiej chęci bycia akceptowanym i popularnym. Fenomenalny Steve Carrell pojawia się tutaj jako oderwany od rzeczywistości bogacz, który poprzez sponsorowanie przyszłych zwycięzców sam chce się znaleźć w świetle jupiterów – chociaż nie ma do tego predyspozycji, a pieniądze i kolejne statuetki tylko iluzorycznie mogą przełamać jego żałosną egzystencję. Zestawiony zostaje z dwiema równie dobrymi kreacjami – akceptującym swoje życie byłym mistrzem zapasów (Mark Ruffalo) i jego bratem, próbujący wyrwać się z macek zapomnienia (Channing Tatum). Wybuchowa mieszanka charakterów i **perfekcyjnie budowane napięcie** dają ostatecznie jedno z najbardziej nihilistycznych spojrzeń na chorobliwą fascynację sportem. **Świetna produkcja**, chociaż bardzo hermetyczna.

RP

Ocena: ■ ■ ■ ■ ■ ■

Coś za mną chodzi

reż. David Robert Mitchell

Świetny pomysł wyjściowy, muzyka z syntezatora przypominająca klasyki Johna Carpentera gęsty klimat, ale od połowy silnik zaczyna charczeć, po czym siada w czasie **kuriozalnego** finału. Nadal jednak jest to znakomity horror i błyskotliwa alegoria przesyconego seksem dorastania na amerykańskich przedmieściach.

RP

Ocena: ■ ■ ■ ■ ■ ■

Udanego lata
ŻYCZĄ
BRODY
Z KOSMOSU!
OUTERSPACEBEARDS.BLOGSPOT.COM